Rok II. Maj — Czerwiec 1917. Nr. 5 i 6.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 18 kor., za półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 3 korony (3 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. — Czek P. K. O. 139.429.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Redakcya otwarta w czwartki od godz. 5—6 popoł., ul. J. Dunajewskiego 1, I. p.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA

Maj—Czerwiec 1917. **ROK POLSKI** Rok II. Nr. 5. i 6.

Konstytucya Trzeciego Maja

w świetle badań i nastrojów współczesnej chwili.

Zauważył niegdyś Sienkiewicz, że zasiew konstytucyjny, stratowany i wdeptany w ziemię przez wrogie siły swoje i obce, jednak weszedł. Rozwinął się w drzewo nader potężne, którego konary ocieniają nas czarem wspomnień przed skwarami prądów porozbiorowych. Im dalej w lata, tem bardziej nawet swojsko w tym cieniu.

Albowiem ratował on nietylko honor narodu, jak później krew żołnierzy maciejowickich i legionistów włoskich, ale i wlewał zawsze w dusze jakiś spokój i dumę potrzebną wśród upokorzeń i hańb stu dwudziestu sześciu lat niewoli. Ponuro zakończyłyby się dzieje przedrozbiorowe, gdyby jego nie było, gdyby epopeja szlacheckiego państwa nie zamknęła się dniem,

> Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
> Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Za targowicką zbrodnią stały bowiem siły obce, których historycy nietylko nie ujęli się za ginącem państwem, ale nawet ferowali na nie wyroki w imię racyi stanu. Nie przeszkodziły jednak, by i dwudziesty wiek, aczkolwiek zrośnięty z wyższymi niby urządzeniami mocarstw rozbiorowych, nie patrzył na konstytucyę jako na coś godnego pamięci. Przeciwnie i dziś ocenia się ją najprzychylniej. Dochodzi się nawet do wniosku, że ustrój polski był wyrazem wolności, że odbijał jaskrawo od absolutyzmu sąsiadów, że pewne pomysły reformatorskie patryotów wyprzedziły nawet zmiany w ustrojach ościennych. Taki naród nie był więc naj-

gorszym z narodów, nie wyobrażał naczynia szczególnej nieprawości, wstecznictwa i upadku, nie stanowił ze swą konstytucyą czegoś osobliwego i godnego ironii.

I nie chodzi tu jedynie o głos serca wyczuwalnego w głosach Naruszewicza, Szujskiego, Balzera. Widać podziw nawet u skrajnego pessymisty na temat poglądów na przeszłość, Bobrzyńskiego, który przyznaje patryotom chęć naprawienia złego i zmazania niesławy anarchii. Jedynie brak zmysłu politycznego nie uzupełnił dzieła reformy stworzeniem armii, by tego dzieła broniła przed intrygami wewnętrznemi i pożądliwościami zewnętrznemi. Co uderza w jego rozwoju, to fakt istnienia przez lat cztery większości broniącej reform. Nie umiała ta większość postępować dość ostrożnie wobec ścierających się wpływów, wolała szachować zamiast neutralizować, ale myślała, rozumowała, wierzyła w swe zasady i cele.

A przecież była w swym składzie tak samo szlachecką, jak stronnictwo staroszlacheckie. Tylko to ostatnie, mimo umiłowania wolności, trzymało się nadto starych tradycyi, nie umiało wyjść poza swój czas i dążenie przeciętności. I patryoci lubili prawić o wartości republikanizmu, wykazywać bezwartościowość militaryzmu, a przecież chcieli armii, starali się o wzmocnienie władzy. Zatrzymali się nad przepaścią radykalizmu, by nie iść ślepo za hasłami nadsekwańskiemi, gdyż było w nich więcej ducha polskiego, ukochania swojskości, pragnienia harmonii z przeszłością niż właściwego skrajnym stronnictwom zachowawczym i radykalnym doktrynerstwa, zaślepienia, uporu.

Doktrynerstwo, zaślepienie, upór *osłabiają bowiem instynkt zachowawczy*, ułatwiają przyjęcie haseł zewnętrznych, nie pozwalają widzieć jasno rzeczywistości. Wydaje się już wtedy, że kresy wzajemnie się nie rozumieją, że rozbiór ducha wyprzedza rozbiór bardzo rozległego jeszcze, mimo aneksyi okolic za Dźwiną, ziem pruskich bez Gdańska i Torunia, a zwłaszcza Galicyi, państwa. Na domiar złego pozostała patryotom po przodkach wiara, że dyplomacya prowadzi grę uczciwą. Nie licząc na siebie a gadając wiele, nie mając jasnego i spójnego wewnętrznie programu, sądzili patryoci, że sojusz pruski jest dźwignią ratunku. Pozwalało im to marzyć rozkosznie o przyszłości, choć żadne wspomnienie historyczne nie uprawniało ich do takiego marzenia.

Jeżeli pokonali własne nawyczki szlacheckie, jeżeli okazali instynkt zachowawczy, jeżeli pozbyli się doktrynerstwa, nie umieli zrozumieć, że zaborca ziem pruskich będzie żądać nie tylko Gdańska i Torunia ale i zaokrąglenia granic w celu związania Śląska z Prusami Wschodnimi. Czyżby wyrzekali się Wielkopolski dla odebrania Witebszczyzny? Nie, tak zaślepionymi i bezkrytycznymi nie byli, by wyrzekać się odwiecznych krain piastowych dla zasiedlonych obcą ludnością kresów. Ale wierzyli w lojalność sojuszów, oświadczeń, manifestów. Stojąc sami na stanowisku moralnie wzniosłem, nie rozumieli ohydy, kryjącej się za zapewnieniami pomocy w walce z Rosyą.

Wszakże, dzięki patryotom, państwo stawało się raz pierwszy matką wszystkich stanów, nie rozdzielało wyznawców różnych wiar na mniej i więcej uprzywilejowanych, przestawało być łupem żywiołów ciemnych i sprzedajnych. W dziele majowem widziałby urzeczywistnienie swych tolerancyjnych nastrojów Modrzewski, wyraz swego serca otwartego dla mieszczan i chłopów Skarga, zwycięstwo rządu nad bezrządem Konarski. Ono było, mimo swych związków i pokrewieństw z prądami rewolucyjnymi zachodnimi, jakby powrotem do epoki piastowskiej, gdy podpory państwa tkwiły w gruncie ludowym, rodzimym, obejmującym odwieczne ziemie nad Odrą, Wartą, Wisłą, a nie na moczarach możnowładztwa kresowego, które czyniło z podwładnego sobie ludu ruskiego zaczyn nieustannego buntu przeciw ośrodkowi państwa, a na rubieżach litewskich celowało biernością i brakiem oporności wobec nacisku od północy i wschodu.

Dzięki patryotom, wracał jakby ustrój piastowy, gdyż szlachta nie była już jedynym uprzywilejowanym czynnikiem w państwie. Obok niej stawało mieszczaństwo, które miało niegdyś samorząd, sądownictwo, bogactwa materyalne i dzielnie współpracowało ze szlachtą nad powiększeniem gospodarczej sprawności państwa. Obok niej stawał lud żyjący niegdyś pod ochroną praw w sprawach osobistych i majątkowych. Nietykalność mieszczanina, stosunek umowy między panem a poddanym były nawrotem do przeszłości, odnowieniem ustroju, z którego wyrosła istotna a nie pozorna siła jagiellońska. Wracał sejm odporny już na głos jednego wichrzycielskiego posła, sejmik, na którym szlachcic nie mógł unicestwić dobrej instrukcyi, król nieograniczony paktami konwentami i nie wyszły z odmętu sprzecznych i kierowanych obcą ręką

elekcyi. Rząd stawał się istotnie rządem, skarb oparł się o powinność podatkową. Znikała swawola kasty, by ustąpić miejsca równowadze społecznej, sprawiegliwości prawnej, sprawności wykonawczej.

W takich warunkach można było odebrać Galicyę jako część stanowiącą niejako podstawę państwa, opartego dotąd o Karpaty i Bałtyk, a teraz pozbawionego granic naturalnych, swobodnego dojścia do morza, bram wypadowych na południe i zachód. A i los Gdańska wydawał się pewniejszym, gdyż bez niego nie mogłoby państwo wywozić swej bogatej wytwórczości rolniczej, rozwinąć, drogą morską, swego handlu i żywiącego handel przemysłu.

To wzniosłe moralne stanowisko dała patryotom szkoła. Wszakże ona pragnęła wprowadzić pierwszy strój w rozstroju. Sławiąc rozum jako najpotężniejszą część ludzkiej istoty, oddalając się od tresury, jaką było wychowanie jezuickie, kształcąc równomiernie duszę i ciało, wiedzę i smak, serce i wolę, odsunęła się daleko od formalizmu dawniejszego, przygotowywała człowieka do życia rozumnego i obywatelskiego. Oparta o zasady militaryzmu, etyzmu, nacyonalizmu, dawała duszom formę narodową i napełniała je kultem obowiązku i prawa. Już przez usta Konarskiego, który wychował kilkuset szlachciców nowego typu, posłyszano, że szkoła ma wychowywać ludzi na uczciwych i dobrych obywateli. A uczciwość i obywatelstwo znaczą cnotę czynną, porzucenie bierności, postępowanie sprawiedliwe, prostotę życia, posłuszeństwo prawom kraju. Bez nich nie obejdzie się jednostka i społeczeństwo, one potrafią odbudować naród w duchu obywatelskim.

Kształciły się tedy charaktery, budziły sumienia szlacheckie. I Komisya Edukacyjna zrozumiała, że wychowanie wiąże się najściślej z etyką, że musi objąć całego człowieka.

Postanowiła kształtować dusze na miarę wyższą nad pospolitość sarmacką, nadać umysłom kierunek narodowy, oświecony, liberalny. Szanując indywidualność wychowywanych, kazała im myśleć a nie przyswajać formuły, wykonywać praktycznie zasady nauki moralnej, mówić zwięźle i spokojnie. Historya miała być odtąd nie nauczaniem dat, tryumfów jednego narodu nad drugim, intryg dyplomatycznych, ale szeregiem opowiadań o wzniosłych czynach jednostek i ludzkości. Wykład nauk ścisłych uczył obserwacyi, pomagał odkrywać a nie powtarzać tylko odkryć biernie

i niesamodzielnie. Między szkołą a społeczeństwem istniał związek duchowy, za pomocą odpowiedzialnych dyrektorów szkolnych, rolnictwo, handel, przemysł stanowiły przedmiot wskazań teoretycznych i praktycznych i podstawę dla wytworzenia szacunku dla zajęć przez szlachtę lekceważonych i pogardzanych.

Kilkadziesiąt tysięcy młodzieży, wyszłej z takiej szkoły, nie było rzeczą obojętną w ogólnym przewrocie pojęć. Taka młodzież, jakiej typem jest niemcewiczowy Walery, wypełnia sejm, uczy w szkołach, tworzy armię, pisze broszury, pracuje w literaturze. A jaką była ta literatura? Wskazał jej drogi Konarski, gdy podniósł, że dusze mają się hartować na modłę starożytną, że muszą opierać się losowi, że winny uczynić z idei zasadę postępowania. Więc Epaminondas Konarskiego, Żółkiewski i Warneńczyk Rzewuskiego, Zygmunt August Wybickiego, kierują się jedynie interesem państwa. Żyją życiem narodu, przedstawiają wyższy typ człowieka. Nie postępują nikczemnie, bo nadto siebie szanują, obowiązki względem ojczyzny pojmują jako obowiązki wobec przeszłości i przyszłości. Ich patryotyzm, to nie doktryna stronnictwa, to nie snobizm estetów, to nie intellektualizm analityków, to nie karyerowiczowstwo i oportunizm polityków gotowych, dla rang, odznaczeń i uśmiechów panującego, nie liczyć się z instynktem ogólnym. Ich patryotyzm, to poczucie głębokiej wspólności z narodem i jego interesami.

Oni mają siłę moralną, która wpływa potężnie na wypadki, siłę czerpaną z narodowej jedności. Nie nazywają niedołęstwa szlachetnością, wysługiwania się wrogom patryotyzmem, lojalizmu polityką mądrą i ostrożną. Tacy bohaterowie dają literaturze charakter polityczny. Stroni ona od trefionych szat epoki baroku, gardzi subtelnością i delikatnością rokoka. Ono musi bowiem bronić społeczeństwa od oskarżeń o anarchię, ona musi wpajać w umysły zdrowe prawidła i zachęcać do cnót publicznych i domowych. Ona umie budzić też wspomnienia dawnej wielkości, ona każe nawet ludziom przeszłości wypowiadać myśli współczesne. I dlatego chór w tragedyi o Zbigniewie prosi Boga o litość nad narodem, w którym swoi łączą się z obcymi i głosi, że

Niechaj ludy niewolnicze
Przez łupy, dzierstwa, zdobycze
Oznaczają szał zwycięstwa,
Dla nas dosyć chwały z męstwa.

I dlatego Warneńczyk w tragedyi wyszłej z ręki Niemcewicza, jak i poprzednia, gromi tych, co łamią praw przymierze, jak gdyby przeczuwał zdradę pruską.

Sądzi, że

> Inni znajdują korzyść w zamiarach powziętych,
> Igrzysko sobie czynią z praw przymierza świętych,
> Ale szlachetny umysł gardzi temi kroki.

A Kazimierz Wielki był dla patryotów także symbolem ich własnych dążeń społecznych. Raz pierwszy stał się bohaterem tragedyi, która wyszła z pod pióra profesora historyi w szkole kadeckiej warszawskiej, Francuza Dubois. Po nim Niemcewicz podjął ten sam temat, jak poprzednio po Rzewuskim. I znów dał upust nieustannym alluzyom do współczesności. Kazimierz Wielki pracuje zatem pokojowo, otacza opieką mieszczan i lud, karci burzliwe zapędy szlachty. A ustaw bronić gotów, jak król Stanisław August. Ś m i e r ć a l b o n i e p o d l e g ł o ś ć, oto hasło jego i otoczenia. „Niechże ten dzień — mówi o dniu zgody stanów — będzie hasłem powszechnej narodu radości, niech Polacy w najpóźniejszych wiekach obchodzą go, jak pamiątkę szczęśliwej ustawy sejmu wiślickiego, niech pamiętają, że tą ustawą położyli koniec wstydowi, klęskom i długiem cierpieniom i że tej winni są szczęście, spokojność i niepodległość swoją“. Taka literatura musiała przebudować duszę narodu i zbliżyć szybko dzień konstytucyi.

I dlatego należało, wraz z państwem, zabić i zasiew konstytucyjny. On zapewniał bowiem pokój w wierze i opiekę prawa innym wyznaniom. Rozbiory pokój w wierze zamąciły prześladowaniem unitów w Rosyi a katolików w Prusiech za dni kulturkampfu. On uznawał prawa mieszczan i chłopów. Rozbiory, podając naród pod jarzmo potrójnej niewoli, zatwierdziły niewolę chłopską, a nie dały praw mieszczanom. Jeżeli zaś później poszły drogą wolności i uwłaszczeń, uczyniły to pod naciskiem ogólnej rewolucyi. On umacniał dzieło oświecenia. Rozbiory oświecenie przygasiły najpierw w tonącej w ciemnocie warstwie ludowej i mieszczańskiej, potem i w warstwie szlacheckiej, by ze szkoły zależnej jedynie od narodu, uczynić fortecę lojalizmu, zaprzaństwa, formułek, a nawet jawnej pogardy narodowej kultury i języka, jak to działo się w Rosyi i dzieje się w Prusiech. On uczynił z króla wykonawcę woli narodu za sejmu i przed sejmem. Rozbiory uczy-

niły naród wykonawcą woli zaborców i kazały mu zwracać się do nich w najpoddańszych raportach i adresach. On uczynił naród wszechwładnym a ministrów zrobił sługami sejmu. Rozbiory wtrąciły naród w przepaść służalstwa, rozbicia, omdlenia. On stworzył armię dla obrony niepodległości i porządku prawnego. Rozbiory zmieniły armię w narzędzie niewoli i bezprawia.

A przecież nie była konstytucya rewolucyą, ale nową ustawą narodu, który sam nałożył sobie pęta przeciw anarchii, a z miłości niepodległości uczynił źródło wolności obywatelskich. Okazał wolę do życia, świadomość, że bez państwa niema narodu. Nie był bowiem narodem wskrzeszonym sztucznie przy pomocy intryg obcych i na gruncie rachub międzynarodowych, jak grecki, włoski, serbski, bułgarski, rumuński lub flamandzki. Nie rozwinął się dzięki zasadzie dzielenia i panowania, jak ruski, litewski lub żydowski, ale tkwił w granitowej podstawie ludu, na ziemi zasiedlonej od lat tysiąca żywiołem wieków piastowskich. Nie był szczepem, jak inne, nie chciał dać się podzielić, jak to bywa ze szczepami przynależnymi, jak niemiecki, do różnych organizmów państwowych. Sam stworzył państwo, sam rozszerzył i wzmocnił to państwo. Zapomniał tylko na czas pewien, że najlepszą jego obroną jest miłość ogółu a nie kasty uważającej się, za wzorem obcych, za ogół. Tę jego kastowość wyzyskali obcy, by podzielić naród szlachecki i zmienić dopiero swą politykę w chwili powszechnej demokratyzacyi narodów i państw.

Gdy nadeszła wojna podważająca podstawy świata, okazali ci obcy, że obfitują w armie, pieniądze, przewagę materyalną. Nie one wygrały przecież, ale idee wolności, sprawiedliwości, uczciwości, widoczne w akcie listopadowym mocarstw centralnych, orędziu styczniowem rzeczypospolitej amerykańskiej, deklaracyi marcowej rewolucyi rosyjskiej. Bez nich niema bowiem pokoju w sumieniu świata, nie ma ładu moralnego w życiu jednostek i narodów. Silny wewnętrzny rząd moralny nastąpić może dopiero po wymierzeniu praw wszystkim. Etyka oparta na zasadach tkwiących w konstytucyi majowej, może dopiero stać się czynnikiem powszechnej kultury, nie opartej o przymus, sztuczne granice, narzucone a nawet wrogie narodom ustawy. Gdzie nad wszystkimi postawiono urzędnika dbałego o własne dobro, związanego najsilniej z obcem dobrem, nie było mowy o etyce prywatnej i pu-

blicznej. Aż przyszedł czas, w którym stało się jasnem, że bez względu na koniec wojny, państwo musi być przywróconem, że wszystkie dzielnice wołają o zjednoczenie, że nie może być utrwalenia rozbiorów.

Jeszcze pali się świat, jeszcze tęsknią dusze, jeszcze schną od cierpień ciała. Ale naród wraz ze swym poetą wierzy,

Że miecz jeśli fałszem hartowan
Łamliwy się staje i kruchy.

W y g r y w a b o w i e m b e z b i t w y, wygrywa to, czego inni nie mogli osiągnąć armiami, pieniądzmi, pomocą dyplomatyczną. I spełnia się wieszcze przeczucie, że próba grobu już odbyta, że jedność wstaje z cichej mogiły. Dokonywa się cud, w którym nie, jak w widzeniu największego z wielkich, państwa rozbiorowe wiodą naród na Kalwaryę i przybijają go do krzyża rozbiorowego, ale właśnie te same państwa niosą go w tryumfie i wśród okrzyków w o l n o ś ć, n i e p o d l e g ł o ś ć, z j e d n o c z e n i e! A on wstaje widoczny światu

Nad ludy i nad króle podniesiony
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony.
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów...

T. Grabowski.

Młode lata Kościuszki[1]).

(Kościuszko a Rousseau).

Na samym schyłku dziejów Rzeczypospolitej polskiej zjawił się wódz w chłopskiej sukmanie. Błogosławimy dzisiaj to zjawisko dziejowe, błogosławimy, bo bez tego epilogu daleko bardziej obcą wydałaby się ludowi naszemu historya dawnej Polski szlacheckiej. Zjawisko to, to zadatek dany przez dawną Polskę nowej ogólnonarodowej Polsce, to drogowskaz na przyszłe wieki. Stąd to do tego racławickiego zjawiska przylgnęły z taką lubością pióra poetów, pędzle Matejków i Chełmońskich, stąd to

> Tak się dzielny lud polski w swej całej potędze,
> Zlał i skupił przy prostej Kościuszki siermiędze [2]).

Dziś w stuletnią rocznicę jego śmierci pora nam spytać, skąd się wziął w Polsce szlacheckiej taki szlachcic-chłopoman? Skąd rozgorzał w jego piersi taki zapał dotąd niewidziany dla sprawy ludu, dlaczego wyróżnił się od tej szlachty, co np. w r. 1780 na sejmiku w Środzie złorzeczyła Wybickiemu, wołając: „Oto ten Jegomość, coby chciał chłopów w szlachtę przemienić a nas w chłopów“ [3]).

Zasługą Korzona jest, że raz na zawsze wyplenił z historyi przypuszczenie, jakoby Kościuszko dokonywał jakiejś specyalnej expiacyi za dawny ucisk chłopów, przez jego ojca popełniany. Bajkę tę puścił w świat w języku francuskim w r. 1837 [4]) Leo-

---

[1]) Wł. A. Dzwonkowski, „Młode lata Kościuszki“ (Bibl. warszaw. 1911, IV).

[2]) K. Morawski, „Tryumf Kościuszki“,

[3]) Wybicki, Pamiętn.

[4]) *Biographie du General Kościuszko* 1837, 8. A więc nie dopiero w polskiej książce z r. 1859; jak sądzi Korzon (Kośc. 46, 549, Kim i czem 15).

nard Chodźko (a za nim oczywiście nie omieszkał jeszcze bardziej rozdąć Kostomarow), rozgłaszając, jakoby ojca Kościuszki za ucisk okropny zamordowali właśni chłopi w czasie ruchów „hajdamackich". Rzecz okazała się legendą. Kto wie nawet, czy przeciwnie z ojczystego dworku nie wyniósł nasz bohater jakichś zadatków na przyszłego apostoła demokracyi, jak np. pogardy dla wszelkiego ucisku i tyranii, przywiązania do wolności itp. Znalazł się tam wuj, co opowiadaniem o bohaterach wskrzesił w nim zapał do wielkich czynów poświęcenia. Sam Kościuszko później nieraz opowiadał, że już „w pierwszej swojej młodości" [1]) najbardziej ze wszystkich bohaterów starożytnych chwycił go za serce republikanin Tymoleon, co to pałał taką nienawiścią do wszelkiej tyranii, że nawet dopuścił do śmierci brata i to dlatego, że ten był okrutnym „tyranem" Koryntu. Kościuszce spodobała się szczególnie bezinteresowność, z jaką ów Tymoleon obalał tyranów, zakładał republiki, a nigdy sam sobie władzy nie uzurpował. Zanim Kościuszko poznał Washingtona, który po spełnieniu swej missyi usunął się w zacisze i pozostał zwykłym obywatelem, już jako małe chłopię polskie ukochał na całe życie typ Tymoleona i znienawidził typ uzurpatorów, typ Napoleonów i Cezarów [2]).

Ten typ Tymoleona, o którym Kościuszko mówił przez całe życie, mógł go popchnąć z kolei do znienawidzenia wszelkiego ucisku a do pokochania sprawy wszystkich uciśnionych. Czy i sprawy warstw niższych? Niezupełnie. Trzeba przyznać, że ten bohater Plutarcha i Korneliusa Neposa, to ideał starożytny, przestarzały, a więc tolerujący niewolnictwo, typ dobry dla szlachty polskiej, głoszącej hasła republiki i równości, ale tylko szlacheckiej. I nikt też chyba nie może się spodziewać, żeby w dworku szlacheckim w połowie XVIII. wieku inne hasła kołysały w młodości Kościuszkę. Były to hasła naogół przestarzałe o równości uprzywilejowanej, nie nadające się do dzisiejszych cza-

---

[1]) Paszkowski 6, Pawlikowski (Weteran poznań.) 1825, 71.

[2]) Nie trzeba zapominać, że ten typ Tymoleona odegrał też swoją rolę w czasie rewolucyi francuskiej i zapalał Francuzów i Włochów. Tak w r. 1764 Laharpe przedstawił w *Theatre Français* tragedyę „Timoleon", Włoch Alfieri w r. 1784 napisał podobną sztukę, a po straceniu Robespiera poeta Chenier z ogromnym sukcesem przedstawił w r. 1794 dramat o tym samym bohaterze klasycznym.

sów i one też zdaje się były jeszcze jego dewizą w chwili, gdy kształcił się (od 18. grudnia 1765 r.) w Warszawie w korpusie kadetów. Ale nie trzeba zapominać, że tę szkołę kadecką król Stanisław August właśnie na to założył, aby synów biednej szlachty odciągnąć od pałaców magnackich a przywiązać do swego tronu, aby jednem słowem mieć w tej młodzieży oficerskiej podporę przeciw wielmożom. Niejako nawet w interesie króla było rozbudzać w tych młodych sercach niechęć do arystokracyi. I w istocie katechizm kadecki zakazywał służalczości, padania do nóg, ściskania za nogi, całowania w ręce, podpisywania się podnóżkiem, zbyt niskich ukłonów. Jak wiadomo, sam król nie pochodził wcale z magnackiego rodu, a nawet dziadka jego „okazać rodowitem szlachectwem trudno było“. Toż i Kościuszko wywodził się z tych warstw najszerszych szlacheckich, a Kniaziewicz mówił o nim, że wyglądał „na prostego zagrodowego szlachcica“. Rzeczą znamienną jest, że król zwrócił uwagę na Kościuszkę i zaczął bardziej się nim interesować dopiero od tej chwili, gdy nasz młody bohater, oburzony na lekceważące potraktowanie jednego z kadetów przez wojewodę podlaskiego, uknuł przeciw temu magnatowi śród młodzieży plan zemsty, czem zmusił dumnego pana do przeprosin [1]). Już tak wcześnie w duszy tego młodzieniaszka zatliła się iskra buntu przeciw wojewodom i arystokratom — pod znanem prastarem hasłem polskiem „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“. Że to było jeszcze jednak tylko hasło równości szlacheckiej a nie nowoczesnej, na to zdaje się wskazywać wiadomość, że ciż sami kadeci burzyli się przeciwko swym przełożonym oficerom nie tylko dlatego, że ci byli cudzoziemcami, ale i dlatego, że pochodzili z gminu.

Pewne nowe idee w tym okresie mógł Kościuszko zdobyć chyba przez lekturę książek, a przedewszystkiem francuskich. Podobno właśnie w tych czasach [2]) pomagała mu w języku francuskim — jego pierwsza miłość — córka zamożnego pisarza polnego litewskiego, panna Ludwika Sosnowska, której on znów miał dawać lekcyi rysunków. Panna Sosnowska była to panna dość inteligentna. Tak np. zajęła się wraz z siostrą przetłómaczeniem

[1]) Paszkowski, 8.

[2]) Dzwonkowski, opierając się na pamiętniku Trembickiego, kładzie ten romans nie na rok 1775 (jak to czynił Korzon), ale już na r. 1769 a w r. 1775 każe mu się powtórzyć.

francuskiej książki o nastroju fizyokratycznym p. t. „Sokrates wieśniak“, *(imprimatur* uzyskano w Warszawie w czerwcu 1769 r.), a przedmowę napisał dobry znajomy rodziny Sosnowskich a profesor Kościuszki (bo profesor historyi i literatury w szkole kadetów), jezuita Nagurczewski.

Niezawodnie, że Kościuszko wiedział o tem tłómaczeniu i pewnie się nawet niem interesował. Może być, że obok tego nudnego dziełka (piszącego pierwszy podobno raz w Polsce — o kartoflach) czytali oboje coś bardziej porywającego. Sosnowska w późniejszych latach przypominała Kościuszce [1]), że on w niej rozbudził „pierwszy sentyment tkliwości“, a zarazem nazwała go „filozofem“. Dlaczego „filozofem“? Czy wówczas nie czytali jakiegoś filozofa“ [2]), a głównie tego filozofa, który jeden z pierwszych rozbudził w Europie sentyment tkliwości — Roussa? Może nie panna, ale może młody oficer czytał tak senzacyjny, tak modny, tak rozrywany wówczas „romans najniebezpieczniejszy“ — „Nową Heloizę“ Roussa, romans, którego treścią była przecież także miłość nauczyciela „filozofa“ do uczennicy — arystokratki!

W rezultacie nie dziełka Roussa, ale miłość podyktowała młodemu kadetowi zamiar porwania panny Sosnowskiej. Pewna zuchwałość, czupurność, bodaj awanturniczość, oddawna cechowała Kościuszkę (koledzy kadeci zwali go „Szwedem“, że przypominał im Karola XII.). Wiedział, że ojciec bogacz nie dałby swej córki za chudopachołka, toż i matka panny była mu niechętna, a później po wyjawieniu się tych zamysłów tak go znienawidziła, że (jak pisze [3]) sama Sosnowska do Kościuszki) 20 lat później „nazwisko jego nie przechodziło nigdy przez usta jej matki i jakby wymazane było z jej alfabetu“.

Pomysł porwania się nie udał. Krewki kadet zwierzył się z swych zamysłów królowi, a ten mu plany pokrzyżował i wyprawił na studya nad Sekwanę.

Do Paryża przyjechał więc z gorzkiem doświadczeniem, że mimo wszystko „szlachcic na zagrodzie nie równy wojewodzie“. Pobyt w Paryżu miał jednak posunąć go dalej — na drodze de-

---

[1]) Korzon 612.

[2]) Moszczeński donosi o korpusie kadetów (co prawda już po reformie 1770 r.): „W modę weszło czytać książki filozofów ostatniego wieku, znać ich maksymy i o nich mówić w kompaniach było zwyczajem“.

[3]) Korzon 612.

mokratyzacyi pojęć. Sam jako ubogi, doznawszy nieszczęścia z ręki bogacza, mógł snuć dalej filozofię ubóstwa. Na tej drodze do reszty mogły Kościuszce spaść z oczu łuski przesądów szlacheckich, a demokratyzm jego ogarnąć i niższe warstwy. Wyznaje to wyraźnie sam Kościuszko, kiedy po powrocie z zagranicy pisze w (niedawno odkrytym) liście do Mniszcha [1]):

„Sposobiłem się przez lat pięć bycia mego w cudzych krajach (aby) wydoskonalić się, co do rządu trwałego z uszczęśliwieniem wszystkich należy, w ekonomice i w stanie żołnierskim... usilnie się starałem tego nauczyć, ile że wrodzoną passyę do tych rzeczy miałem".

Na pierwszem miejscu mówi, że uczył się teoryi politycznych co do „uszczęśliwienia wszystkich". Co to znaczy? Co znaczą te słowa, które nie wiem dlaczego Dr. Dzwonkowski pominął przy interpretacyi tego listu [2]). Znaczą one, że kształcił się w teoryach demokratycznych, znaczą, że myślał o rządzie, któryby uszczęśliwiał wszystkich, to jest nie samą warstwę wybraną, ale wszystkich, a więc nie tylko wszystką szlachtę, ale i mieszczan i włościan.

Potwierdzenie tego znajdujemy, gdy zbadamy, którego to autora dzieła Kościuszko studyował w Paryżu. Któryż to autor uczył o „uszczęśliwieniu wszystkich"? Gdy za wskazówkę Kościuszki o „ekonomice" [3]) sięgniemy do rozprawki Roussa, *„sur l'economie politique"* (ogłoszonej w Wielkiej Encyklopedyi Diderota, a potem osobno 1758 i 1764 r.), wówczas dostrzeżemy, że myśliciel genewski, podzieliwszy rządy na tyrańskie i „popularne", dowodzi, że te ostatnie starają się lud *„rendre heureux"*. Rousseau wynosi tu Katona ponad Sokratesa *„car on n'a jamais fait un peuple de sages, mais il n'est pas impossible de rendre un peuple de heureux"* i dodaje, że obywatel naśladujący Katona *„chercherait son bonheur dans celui de tous"*.

---

1) Dr. Koneczny, *„Przegląd Powszechny"* 1907, czerwiec 443.

2) Tą drogą doszedłby może do odkrycia wpływu Roussa na Kościuszce, o czem nie wspomina wcale.

3) Może być, że nie zapomniał także i badać fizyokratów, zacze m świad czyłoby np. zdanie w manifeście połanieckim, że ziemia „jest źródłem bogactw naszych". Jak wiadomo fizyokraci na pierwszem miejscu produkcyi stawiali pracę wieśniaka i starali się o pewne dla nich ulgi.

Znalazłszy wzór Kościuszki, wyjaśniamy sobie zarazem, co rozumiał przez „wszyscy“. Artykuł bowiem mówi, że obowiązkiem rządu „przedewszystkiem jest chronić biednego przed tyranią bogatego“ i występuje ostro przeciw ciężarom, nakładanym na wieśniaka. Że tak szeroko rozumiał to słowo „wszyscy“ Kościuszko, w tem zresztą umocnimy się na następnych kartach, gdy dostrzeżemy, że urodzone tu poraz pierwszy hasło o „uszczęśliwieniu wszystkich“ — odtąd przez całe życie wciąż dźwięczyć będzie na jego ustach — jakby jakiś ton przewodni, stały i powrotny i tak zawsze przez niego będzie rozumiane.

I nic dziwnego, że Kościuszko tak się przejął ideami Roussa, że tak pilnie studyował jego dzieła. Jeśli bowiem (jak pisze) z „wrodzoną pasyą“ zajmował się projektami reform rządu w Polsce, toć chyba nie mógł pominąć dzieł tego filozofa, do którego w czasie jego pobytu w Paryżu w 1770 r. zwrócili się konfederaci barscy, a głównie Wielhorski z prośbą o napisanie głośnych później rad dla Polski. Jeżeli dziś dzięki badaniom Dzwonkowskiego wiemy, że na samym wstępie w listopadzie 1769 r. Kościuszko (niedawny nauczyciel rysunków Sosnowskiej) zapisał się w Paryżu jako malarz w królewskiej Akademii malarstwa i rzeźby, toć trudno, żeby nie słyszał o tak wówczas modnej, a tak paradoksalnej rozprawie Roussa o „naukach i sztukach“, w której autor mimochodem nie omieszkał wystąpić przeciw nierówności posiadania i przeciw upośledzeniu chłopów — rozprawie tem więcej interesującej Polaka, że po niej wywiązała się polemika między autorem a królem Leszczyńskim. Na tej drodze mógł się Kościuszko zapoznać i z innymi rozprawami Roussa, jak o „nierówności między ludźmi“, jak o „ugodzie społecznej“, tej jak dziś wiemy ewangelii Robespierra [1]) i innych przewódców rewolucyi francuskiej.

Przypuszczenie o studyach nad Roussem potwierdza bliski zaufany [2]) Kościuszki, Józej Pawlikowski, który wyraźnie pisze, że Kościuszko „w nauce towarzyskiej zdania Locke'a i J. J. Roussa p r z e k ł a d a ł nad innych“ [3]). Podobnież Rychlicki (str. 47) na podstawie ustnej tradycyi przytacza, że Kościuszkę bardzo zajęła

---

[1]) R. Schatz, *J. J. Rousseaus Einfluss auf Robespierre* 1905.

[2]) Skałkowski, „O kokardę legionów“ 137.

[3]) Weteran poznań. 1825, str. 71 (por. Siemieński, Żywot 25).

rzecz Roussa o wychowaniu („Emil“), wymierzona przeciw tyranizowaniu dziecka, że zajęła go tu szczególnie uwaga, że praca fizyczna nie ubliża człowiekowi, tak że pod wrażeniem tej książki nauczył się sam tokarstwa, stolarstwa i ogrodnictwa [1]).

To też kiedy po pięcioletnim pobycie wrócił (w połowie 1774 r.) do kraju młody Pan Tadeusz, był to już prawie nowoczesny demokrata. Wielka już była różnica między nim a przeciętnym polskim szlachcicem.

Francuz Parandier na podstawie zeznań znajomych spisał później wrażenia, jakie na Kościuszce zrobiła wówczas ojczyzna. Podobno uderzyło go ogromne zacofanie kraju. Parandier pisze tak: „po powrocie do kraju ucisk najezdców, anarchia rządu, bezmyślny przepych magnatów i nędza ludu tak żywo poruszyły jego duszą, że Kościuszko wpadł w melancholię, która zaniepokoiła jego krewnych i przyjaciół. Ze słów [2]) „przepych magnatów, nędza ludu“, możnaby wnosić, że obchodzić go zaczęła wyraźnie już kwestya społeczna. Jeśli nawet nie poruszyłaby go kwestya społeczna, to jednak już same wypadki polityczne przedstawiały tak smutny obraz, że mogły go w istocie natchnąć czarną melancholią. Myli się Dzwonkowski (52) sądząc, że przyczyną melancholii mogły być tylko jego sprawy sercowe. Dzwonkowski nie wierzy, „ażeby nieszczęścia krajowe natury politycznej i społecznej aż tak silny wpływ miały wywrzeć na psychę Kościuszki przy panującej jeszcze podówczas ogólnej apatyi, przy powszechnem niemal przytępieniu wrażliwości narodowej. Takiego usposabiającego tła w psychice masowej wówczas nie było. To też prędzej można tu wywnioskować współdziałanie natury osobistej“ (sercowej).

A jednak! Czy pierwszy rozbiór nie wzruszył i nie przeraził wielu Polaków? Wszak to czas, w którym Tadeusz Rejtan po po swych protestach dostaje obłąkania, aby w r. 1780 z rozpaczy szkłem sobie żywot przerznąć! Sołtyk popada w rodzaj melancholii i zamyka się w swoim pałacu [3]). Jeśli Rejtan, jeśli Sołtyk popadają w melancholię, to czyż dziwnemby to było u tego Ko-

---

[1]) Koneczny, „T. Kościuszko“ 1917, 143, kładzie to na karb raczej zamerykanizowania się późniejszego Kościuszki.

[2]) Trochę co prawda to świadectwo podkopuje ta okoliczność, że Parandier pisał w tym celu, aby zaskarbić sympatyę rewolucyonistów francuskich dla Kościuszki.

[3]) Rudnicki, Sołtyk 199.

ściuszki, co na pobojowisku pod Szczekocinami wpadł w taką rozpacz, że „chciał być ubitym".

Wszak właśnie w czasie przybycia Kościuszki do kraju obraduje delegacya, rządzi wszystkiem nikczemnik Adam Poniński z całą zgrają zaprzedańców, a 11. kwietnia 1775 r. kończy się dwuletni sejm rozbiorowy i obejmuje w tydzień potem rządy Rada Nieustająca pod gwarancyą Rosyi. Jak w 10 lat później przypomni Staszyc w „Uwagach nad życiem J. Zamojskiego", wówczas to z piersi narodu wyrwał się okrzyk „Zginęliśmy, już król podpisał naszą niewolę".

Chyba i Kościuszko wówczas ukazał się nieprzejednanym patryotą, chyba i on wraz z innymi nazwał „Radę Nieustającą" — „Zdradą [1]) Nieustającą", chyba i on odsunął się od króla i faworytów moskiewskich i nie chciał z nimi nic mieć wspólnego.

Do jakiego jednak miał się w takim razie zapisać obozu? Jaka partya mogła przynieść krajowi ratunek?

Konfederacya barska leżała właśnie u nóg króla i państw rozbiorczych. Ta konfederacya, co protestowała przeciw rozbiorowi Polski i przeciw dziełu Adama Ponińskiego, leżała zmiażdżona, sejm rozbiorowy kazał ściąć dwu sprawców porwania Stanisława Augusta a Kazimierza Pułaskiego i innych skazywał zaocznie na śmierć! Kazimierz Pułaski podążył do Marsylii — konfederaci barscy skończyli swoją rolę, przechodzili do historyi.

Gdzie szukać ratunku? Jak wiadomo śród konfederatów barskich snuła się oddawna myśl elekcyi saskiej przeciw Stanisławowi Poniatowskiemu. Zdaje się, że ta „oryentacya saska" zabłysła teraz na moment w głowie Kościuszki. Czy nie należałoby jeszcze raz zapukać do Drezna i odnowić myśli konfederatów? Drezno wydało mu się ostatniem schronieniem niepodległej myśli polskiej, tak jak się wyda i stronnikom 3 maja i organizatorom insurekcyi następnej, którzy w Saksonii się skupią i zbiorą przed rozpoczęciem powstania.

Nic to, że sejm rozbiorowy pod naciskiem mocarstw rozbiorczych wykluczył cudzodziemców (a więc i Wettinów) do trzeciego pokolenia od następstwa tronu. Kościuszko nie myślał odrazu o elekcyi, chciał wprzód sam się dostać bliżej samego dworu saskiego.

---

[1]) Por. Konopczyński, Geneza Rady Nieustającej 1917, 359.

W tej myśli zapewne Kościuszko podążył do Dukli, do dawnego ukrytego poplecznika konfederatów barskich a sojusznika Dworu Saskiego, do Jerzego Wandalina Mniszcha, kasztelana krakowskiego, ożenionego z Anielą Brühlówną. Nie zastał go jednak w domu i wówczas napisał ów już cytowany list z Dukli 19. października 1775 r. [1]).

W liście tym kreśli swój program, który jest jakby kontrastem programu Adama Ponińskiego i jego popleczniników. Jak już wspomniałem, wyznaje, że w czasie swych studów zagranicznych pracował nad reformami „rządu trwałego" „z uszczęśliwieniem wszystkich". Więc i on nie chce anarchii konfederatów barskich, i on chce „rządu trwałego". Ale chce demokratycznego rządu, a więc przeciwny jest tak wyłączności szlacheckiej Barzan, jak i rządom tej kliki oligarchicznej, która na sejmie rozbiorowym nadała nowe tytuły książąt Ponińskim i Massalskim!

W tym liście jest ciekawy zwrot: „ale teraz w Polsce, chociaż chciano mnie zażyć, nie upatrowałem dla niej żadnego uszczęśliwienia. „Teraz!" wynikałałoby z tego, że Rada Nieustająca lub król chcieli go pozyskać, ofiarując mu jakieś stanowisko, ale on odrzucił, bo nie chciał mieć nic wspólnego z tymi zaprzedańcami, bo czuł, że oni nie dadzą Polsce „żadnego uszczęśliwienia". Nie! on chce dostać jakieś stanowisko w Dreźnie, bo jest przekonany, że stamtąd może przyjść ratunek dla Polski. Pisze wyraźnie: „Krok mój uczyniony do Dworu Saskiego jest szczególnym celem, ażebym był kiedyś użytecznym ojczyźnie naszej i wypłacił się jej z obowiązku obywatelstwa". Więc nie chce zostać na zawsze obywatelem saskim, on robi to wszystko z myślą o Polsce! I stąd prosi o poparcie: „o pomieszczenie mnie czyli w rejmencie czyli w gabinecie, cobym lepiej wolał". Wolałby dostać stanowisko w polityce czy dyplomacyi (lepiej niż we wojsku), bo tuby bezpośrednio mógł oddziałać i pociągnąć Wettinów do poparcia spraw Polski.

To odnowienie „oryentacyi saskiej" tak znamiennej dla konfederatów barskich, ten pozatem nieugięty jego patryotyzm i odsunięcie się od króla, sprawiły zdaje się, że w niektórych kołach zaczęto zaliczać Kościuszkę do konfederatów barskich [2]), jakkol-

[1]) Koneczny, *Przegląd Powszechny* 1907, czerwiec 443.

[2]) Tak Nowiny wydawane przez Pijarów (16. kwietnia 1777) piszą z Warszawy: „Losy szczęścia dziwnej Opatrzności zrządziły, że uwolniwszy od nur-

wiek nigdy z nimi nie miał bezpośredniego związku i daleki był od ich konserwatyzmu.

W miesiąc z górą przed napisaniem owego listu Kościuszki do Mniszcha, został Sosnowski, ojciec jego bogdanki (13. września 1775 r.) hetmanem polskim litewskim. Kościuszko chyba pod nim nie miał wielkiej ochoty służyć wojskowo. Sosnowski oddawna trzymał z Moskwą i był jej zaprzedany, następnie został członkiem Rady Nieustającej, a teraz w nagrodę hetmanem. Kościuszko zapewne nie czynił już teraz zabiegów ponownych o rękę jego córki [1]), choć pewnie bolał niemało, że hetman postanowił wydać córkę za *księcia* Lubomirskiego. Chyba to nie utuliło w nim dawnej już jego niechęci do arystokracyi. Może być, że okolica powtarzała sobie, że hetman powiedział: „Synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków!“ W duszy „drobnego szlachetki“ na tle tej tragedyi serca mógł wybuchnąć podobny odruch jak u Mickiewiczowskiego Jacka Soplicy, co nie dostawszy ręki Horeszkówny

> ...drwił z magnatów
> Z córek ich i nie dbał o arystokratów“

co w końcu wobec kpin okolicy umyślił

> „opuścić na zawsze powiat i ojczyznę,
> Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę“.

Tylko, że odruch ten inaczej się skończył u takiego mściwego zawadyaki, jakim był Jacek Soplica, a inaczej w duszy tak bohaterskiej i szlachetnej, jaką miał Kościuszko. Kościuszko nie myślał wynieść się na Moskwę, na wschód, ale odwrotnie właśnie na zachód, bo magnat zaprzedany był Moskwie... Związała się tu sprawa polityczna też z sercową. Z tem wszystkiem

tów morskich przez rozbity okręt W. J. Mci pana Kościuszkę, obywatela naszego z W. Ks. Lit., będącego przedtem u kadetów, *potem w konfederacyi barskiej*, z pięcioma innymi Polakami przy życiu zakonserwowały, przez chwycenie się masztu i do wyspy dopłynienie, który potem dostawszy się do Ameryki przez dane dowody doskonałości swojej w sztuce wojennej rangi pułkownikowskiej w wojsku amerykańskiem dostąpił. Ten pan pułkownik doniósł teraz aktualnie JO. księciu JMci generałowi ziem podolskich Czartoryskiemu etc. (L. Siemieński, Żywot Kościuszki 1866, 47).

[1]) Wedle pamiętnika Trembickiego, cytowanego przez Dzwonkowskiego, wynikałoby, że teraz wogóle Kościuszko nie miał sposobności widzenia się z panną, bo nad tem pilnie czuwano.

powodem wyjazdu nie był wyłącznie [1]) zawód serca. Nieprawdą jest, aby Kościuszko wyjeżdżał teraz na zachód „Gustawem“, aby wrócić kiedyś „Konradem“. Nie! jak już wskazuje przytoczony list do Mniszcha, on już był „Konradem“, bo już w jego sercu na pierwszem miejscu było wypisane słowo „ojczyzna“. Nie wyjeżdżał pod hasłem *„ubi bene, ibi patria“* i nie dla tego, że sam się czuł w Polsce jak w piekle, ale owszem wyjeżdżał na to, aby w Polsce zamiast piekła utworzyć niebo — „z uszczęśliwieniem dla wszystkich“.

Niestety znów spotkał Kościuszkę zawód. Plan drezdeński nie doszedł do skutku. List do Mniszcha może nawet pozostał bez odpowiedzi. Chytry Mniszech dostrzegłszy, że sprawa nietylko konfederatów barskich, ale wszelkiej opozycyi przepadła, nie myślał wiązać się z żadnymi malkontentami ani angażować w tem dworu saskiego. Zapewne nie odpowiedział nieznanemu szlachetce, co snuł jakieś śmieszne marzenia o „uszczęśliwieniu wszystkich“...

I w tej chwili ciężkiej tylu zawodów, gdy namyślał się jeszcze, dokąd zwrócić kroki tułacze, nagle stara Europa zatrzęsła się od wrażenia, jakie na niej wywarł wybuch rewolucyi amerykańskiej przeciw własnemu królowi angielskiemu skierowanej. Tam za Atlantykiem wszystkie marzenia Roussa w czyn się oblekały! [2]).

W chwili gdy w Europie u szczytu swego był absolutyzm monarszy, kiedy luminarzami jej byli tacy despoci jak Katarzyna II. i Fryderyk II., odbierający hołdy od Woltera, Diderota, encyklopedystów, despoci, którzy właśnie dopieroco dokonawszy pierwszego rozbioru Polski udowodnili światu tym sukcesem, że ich system jest świetny, despoci, którzy samej Polsce narzucili „Radę nieustającą“ i „ducha niewolniczego“, a w zamian otrzymywali unizone hołdy od polskich magnatów — w takiej chwili zrywał

---

[1]) W r. 1787 Ludwika z Sosnowskich Lubomirska, wstawiając się za Kościuszką, napisała: „Znane są W. Kr. Mci dawne stosunki między mną a P. Kościuszką, które go na czas d ł u g i oddaliły z kraju i były źródłem jego nieszczęść. W wynagrodzeniu czuję się zobowiązaną zająć się jego losem“ (Korzon 200). Niewiadomo, co rozumie tu pod „czas długi?“ Czy owe 5 lat w Paryżu przebytych, czy włącza i pobyt 7-letni w Ameryce? Pozatem mogła tylko sobie przypisywać zbyt dumnie przyczynę drugiego wyjazdu, podczas gdy tu działały i polityczne względy.

[2]) *„Les Americains samblaient ne faire qu' exécuter ce que nos écrivains avaient conçu: ils donnaient la substance de la realité a ce que nous étions en traine de rêver“* (Tocqueville, Oeuvres IV, 215).

się w Ameryce rokosz przeciw własnemu królowi angielskiemu, przeciw jego, jak głosili Amerykanie, „nieograniczonej tyranii“. Oto w takich czasach Amerykanie „ośmielili się zwyciężać swych tyranów“ — jak czytamy w książce później wydanej pod natchnieniem Kościuszki [1]). Czy się dziwić, że Polacy uwierzyli, że tam toczy się walka wogóle z wszelkim absolutyzmem, a więc i z absolutyzmem Fryderyków [2]) i Katarzyn, czy się dziwić, że tam popędzili co wrażliwsi Polacy, że popędził i wróg rosyjskiej tyranii Kazimierz Pułaski, konfederat barski, a przed nim jeszcze pognał tam co żywo i sam Kościuszko! [3]).

Nie można zaprzeczyć, że w pobudkach Kościuszki odegrały tu rolę sympatye ogólno-demokratyczne, ogólno-społeczne. Coś prawdy tkwi w słowach późniejszego zaufanego Kościuszki, już cytowanego Pawlikowskiego, który zaprzecza, jakoby Kościuszko pojechał do Ameryki z powodu nieszczęśliwej miłości do panny Sosnowskiej, a dowodzi, że to uczynił dlatego „że sprawa uciśnionych podobała mu się“ [4]).

Tak jest, oddawna wszelki ucisk był mu obmierzły i dlatego pod hasłem Tymoleona pójdzie walczyć przeciw tyranowi londyńskiemu [5]). Wszyscy ludzie wzdychający za wolnością, a więc pewnie i Kościuszko pomyśleli sobie wówczas to, co Anglik Tomasz Paine napisał (1776) w swej głośnej broszurze „Common Sense“:

„Dziś kiedy wolność jest wypędzona zewsząd i ścigana naokoło globu ziemskiego, kiedy nawet Anglia odpycha ją precz od siebie, o wy Amerykanie dajcież przynajmniej gościnność tej tułaczce i na czas przygotujcie asylum dla ludzkości“.

Tam za Atlantykiem gotowało się oddawna schronienie dla ludzkości. Już w r. 1764 amerykański adwokat z Bostonu, Jakób

---

[1]) Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość? 1800.

[2]) Tem więcej, że Franklin dla zohydzenia „tyranii angielskiej“ rozpowszechnił tyrański tak zwany „edykt pruski“, rzekomo (6. września 1773 r.) wydany przez Fryderyka II. z Gdańska (por. *Correspond. du Franklin*, Paris 1817 I, 463) edykt przywłaszczający sobie niby władzę nad Brytanią.

[3]) Ks. Szopiński, Udział Kościuszki i Pułaskiego w rewolucyi amerykańskiej (*Przegląd polsko-amerykański* 1912 i 1913).

[4]) Weteran poznań. 72—73.

[5]) Amerykańska deklaracya niepodległości (1776) głosiła: „władca, którego charakter nosi na sobie oznaki tyrana, nie godzien jest być nadal władcą wolnego ludu“.

Otis, „wielki podpalacz“ w książce *„The right of the Colonies asserted and proved“* tak pisał:

„Bóg uczynił wszystkich ludzi z natury swej równymi... Świat stoi w przededniu wspaniałego zjawiska... Kto zwycięży, Bóg wie, ale ludzka natura musi wyzwolić się i w istocie wyzwoli z ogólnej niewoli, która tak długo ciążyła nad rodzajem ludzkim... Amerykańscy koloniści są ludźmi, a zatem wolnymi z urodzenia, bo według prawa przyrodzonego wszyscy ludzie czarni czy biali wolnymi się rodzą“...

Izba lordów w Londynie uznała, że autor tej książki musiał być — waryatem. — Co prawda nie wszyscy Amerykanie wyznawali takie „szalone“ idee jak Otis. Sam Washington i południowe Stany posługiwały się około $^1/_2$ milionem murzynów i były za utrzymaniem niewolnictwa, podczas gdy mieszkańcy północnych, więcej przemysłowych stanów, zwani Yankesami, byli tak jak i Otis temu przeciwni.

Do których Kościuszko przylgnie?

Początkowo zapewne Yankesi wcale nie spodziewali się, aby ten przybyły szlachcic polski wyznawał równie daleko idące jak i oni programy demokratyczne. Wszak zapewne wiedzieli, że w Polsce chłopi nie cieszą się zbytnią wolnością. Wszakże jedno z pism agitacyjnych t. zw. *„Listy osadnika“*, wydane przez kwakra adwokata Johna Dickinsona, pismo niezmiernie w Ameryce popularne i swego czasu przez samego Franklina w Londynie rozrzucane, nawoływało dlatego Amerykanów do rokoszu, że inaczej wszyscy koloniści amerykańscy mogliby jeszcze zostać „równie podłymi niewolnikami jak ci, których widać w Polsce i gdzieindziej z łapciami na nogach a z kołtunami nigdy nie czesanych włosów na głowie“. Nie spodziewali się więc chyba Amerykanie, że ten przybyły właściciel — jak mówili — „kołtuniastych chłopów“ opowie się np. za emancypacyą murzynów? Niezawodnie przechyli się na stronę plantatorów południowych, właścicieli licznych gromad murzyńskich. Wszakże dopiero co właśnie (w roku 1775) w Londynie zgryźliwie porównywano tych plantatorów i na równi stawiano ze szlachtą polską. Tak głośny przewódca whigów, Edmund B u r k e, w parlamencie angielskim (1775) dowodził, że buta zbuntowanych plantatorów ma podobne źródło, co i buta polskiej szlachty i wołał:

„Gdzie panuje niewolnictwo, tam wszyscy wolni ludzie są ze wszystkich wolnych najdumniejszymi i w wolności najbardziej rozkochanymi. Wolność stanowi bowiem wówczas rodzaj szlachectwa i przywileju... takimi za dni naszych są Polacy. Takimi będą zawsze panowie niewolników, nie będący sami niewolnikami. U narodów takich duma panowania łączy się z duchem wolności, wzmacnia go i czyni nieprzezwyciężonym“.

Anglik Tomasz Burke, niepohamowany w swem oburzeniu na zbuntowanych Amerykanów, chcąc ich zohydzić wobec świata, przesadził tu i nazbyt swe porównania uogólnił i to tak co do Amerykanów, jako też i co do Polaków. Zapewne może taki np. przybyły do Ameryki Polak starej daty, konfederat barski, Kazimierz Pułaski, wyrosły w bojach szlachty z hajdamaczyzną — wierzył tylko w szlachecką wolność i równość i mógł być porównany z Washingtonem i plantatorami południa, ale jednak obok nich były już typy bardziej nowoczesne, bo Yankesi — i Kościuszko.

Ten ostatni uratował w Ameryce sławę Polaków, zohydzoną przez Dickinsona i Burkego i nawet samych Yankesów zadziwił. Wszak on właśnie w tym samym roku (1775), w którym Burke pomstował na „niewolnictwo“ w Polsce, myślał o reformach, któreby „uszczęśliwiały wszystkich“. Ten przybyły szlachcic zaimponował nawet Yankesom szerokością swych horyzontów demokratycznych.

Z radością też wielką jeden z przewódców demokratów amerykańskich, Jefferson, donosił swemu współwyznawcy jenerałowi Gates, że Kościuszko, to jest „najczystszy ze znanych mu synów wolności i to tej wolności, która ogarnia wszystkich, nietylko garstkę wybraną lub samych zamożnych“ [1]).

„Wszystkich!“ Nie omylił się Jefferson. Kościuszko obejmie swymi dążeniami ogólno-humanitarnymi także murzynów, a nawet, jak wiadomo, tak się zapalił do ich emancypacyi, że w czasie drugiego swego pobytu w Ameryce (27. stycznia 1798 r.) zostawił w ręku tegoż Jeffersona w testamencie cały fundusz na wykup dzieci murzyńskich z niewoli i także na ich wychowanie, aby mogli stać się kiedyś „obrońcami swej wolności i swej ojczyzny“.

---

[1]) W. M. Kozłowski, *Przegląd historyczny* X 1912, 225.

Nie inaczej postąpił i w Polsce, nie zapomniał o „białych" murzynach. Kiedy powrócił 1783 r. do swego dworku, zaczął od tego, „że w szczupłej wiosce (swojej) starał się poprawiać rolnictwo i uszczęśliwiać włościan" [1]), a skończył na odezwach pod Połańcem, a szczególnie odezwie z 15. maja 1794 r. (dotyczącej chłopów prawosławnych z jego stron rodzinnych), w której głosił: „Walcząc o wolność, wszystkich ziemi naszej mieszkańców uszczęśliwić pragniemy" [2]).

Z wszystkiego widać, że przewodnią ideą Kościuszki było przekonanie, do którego dojdzie kiedyś starszy brat Napoleona, Józef Bonaparte, kiedy powie:

„Dès qu'on aura bien conçu que tous doivent être appelés a s'occuper du bonheur de tous, le plus difficile sera fait"...

---

[1]) Weteran poznański 1825, 175.

[2]) Korzon 317. Piotr Zborowski 222 lat przedtem głosił takie hasła wobec szlachty: „Wszech, którzyby się jeno krwie szlacheckiej czuli, napominam, aby pomnieli na stan swój i na tę jedyną (z której wszystkie inne płyną) wolność naszą, co ją *omnes* zowią, iż wszyscy jednako mamy do wolnego obierania Pana należeć, które to *„omnes"* szlacheckie, byśmy raz, czego Panie uchowaj, utracić mieli, jużbyśmy zaraz i z wolnościami wszystkimi zginąć musieli" (Sobieski, Trybun ludu, 51). Jakże to wielki skok od tamtego szlacheckiego hasła *„omnes"* z r. 1572 do nowoczesnego Kościuszkowskiego, od tamtej demokracyi szlacheckiej, do nowoczesnej!

Wacław Sobieski.

Polityka, prawo i etyka[1]).

Szkic próby naukowego ujęcia i uporządkowania.

II. Istota polityki.

4. Naród a polityka. Narodem jest większe zbiorowisko ludzi, albo właściwie rodzin, zespolone i utrzymane trojaką siłą moralną: tradycyą spólnych wysiłków, bojów i pracy około ubezpieczenia ojczyzny (H. Poincaré), miłością tej ojczyzny i patryotyzmem. Naród jest organizacyą naturalną i moralną. Jeżeli ma państwo rodzime, to jest zarazem organizacyą sztuczną, prawną. Znamy dwojakie narody: jednoplemienne i polityczne. Naród polityczny jest zespołem dwóch lub więcej narodowości różnojęzycznych i możebnie też rozmaitej kultury rodzimej (Szwajcarya, Polska jagiellońska). Jeżeli te narodowości są spojone owym potrójnym węzłem moralnym, to jedynie wtedy tworzą jeden naród polityczny, jeżeli i jak długo są związane spólną organizacyą prawno-państwową. Atoli naród jednoplemienny może istnieć bez własnego państwa. Brakujące państwo rodzime zastępuje mu spółposiadanie moralnych skarbów: języka, kultury rodzimej i literatury, i ta świadomość, że te skarby, a przedewszystkiem literatura, są „moralnym bytem narodu“ (Brodziński), których obca przemoc nie odbierze. Wspaniała literatura żydowska, z którą chrześcijaństwo, w miarę jak się rozszerzało, świat zapoznawało, pogodziła żydów ze światem (Herder). Po rozbiorach, żył naród długi czas tylko literaturą i przez nią tylko dawał znaki życia.

Miłość ojczyzny obejmuje ziemię ojczystą i ludność na niej osiedloną. Człowiek i ziemia mają tu równe znaczenie *(Tout*

---

[1]) Ob. *Rok Polski* 1917 nr. 2.

vaut l'homme, tout vaut la terre). Bez miłości dla ziomków byłaby ona tylko przywiązaniem do gniazda rodzinnego, do gleby ojczystej, jako żywicielki człowieka i jego rodziny. Dopiero wtedy, gdy przywiązanie do własnej zagrody dlatego się rozszerzyło na cały obszar ojczyzny, że na niej wzrosło „nasze plemię“, powstaje miłość ojczyzny. Ziemia i ziomkowie są rzeczywistością dla obecnych; w krainie marzeń i tęsknoty istnieją u wysiedleńców.

Jeżeli ta filiacya miłości ojczyzny jest uzasadniona, to ona, jak każde inne uczucie miłości, jest ślepą, żywiołową siłą natury, a więc surowcem do wytworu ludzkiego, zwanego narodem. Z tego surowca tworzy się naród spólną pracą około ubezpieczenia ojczyzny, której pamięć utrzymuje tradycya, i patryotyzmem, bezustannie trwającym i czynnym. Przez patryotyzm rozumie się przywiązanie do ziemi ojczystej i ziomków, prześwietlone poznaniem wartości historycznej swojskiego zbiorowiska, ciągle odświeżane przeświadczeniem, w kaźni i klęskach coraz mocniejszem, że to naszą moralną potrzebą jest miłować rzeszę rodaków jakby rodzinę, taką jaką ona jest, bez żadnych zastrzeżeń, słabą lub potężną, swawolną lub cnotliwą, rządną lub bezładną.

Zazwyczaj nie odróżnia się miłości ojczyzny od patryotyzmu, biernego ukochania ojczyzny od czynnej woli utrzymania narodowej jaźni. A jednak to wydaje się być uzasadnione w różnicy pojmowania narodowości z jednej, a narodu z drugiej strony. Dla obserwatora istnieje narodowość przedmiotowo, gdy patrzy na granice obszaru ziemskiego i ludności jego, która ten obszar kocha instynktownie; za naród ją wtedy uznamy, gdy ma świadomość i wolę bytu. Patryotyzm jest poczuciem podmiotowem i myślą zamiarów jednostek zrzeszonych (Milewski).

Ideologia patryotyzmu czyli ideał miłości wielkiego celu narodowego bytu, składa się z trojakiej dążności, nierozerwalną trójjedność stanowiącą: utrzymanie całej ojczyzny, wolnej i władnej; jej ratowania, gdy upada; odzyskania utraconej niepodległości. Polityka ofiarująca części dla ocalenia reszty, zadowalniająca się z góry tem co Bóg da, byle tylko nieco lepiej było, aniżeli jest teraz, — nie zasługuje na miano patryotycznej. Polityka jest staraniem się działaczy, kierujących życiem publicznem, o dobro narodu. Ale dotychczasowe jej pojmowanie, w teoryi i praktyce przeważające, łączy ją tylko z państwem.

5. **Państwo a polityka.** Państwo rodzime (narodowe) jest organizacyą prawną i naturalną. O ile państwo złożone nie opiera się na różnojęzycznym narodzie politycznym, o tyle jest wyłącznie tylko organizacyą prawną, sztucznym zlepkiem narodowości. Obecnie albo naród (jednoplemienny lub polityczny) ma własne państwo, albo państwo złożone ma w sobie oznaczony naród, który tam prawnie należy, chętnie lub niechętnie. Uczą nas od dawien dawna, że prawo i jego urządzenia (instytucye), a więc i państwo, po to się tworzą, aby człowiek uspołeczniony miał z nich odpowiednie korzyści. Z tego punktu widzenia, polityka, na korzyść państwa prowadzona, służy narodowi najpewniej wtedy, gdy naród ma własne państwo, bo wtedy naród a państwo to jedno. Jeżeli polityczne starania odnoszą się do państwa złożonego, będącego zarazem państwem nacyonalistycznem (Prusy), to polityka taka służy wyłącznie tylko narodowi panującemu. Jeżeli ta polityka służy państwu ludowemu (ludów równouprawnionych — *Völkerstaat)*, to daje korzyści wszystkim jego ludom, albo niektórym z nich, innym nie szkodząc. Ale w jednem i drugiem państwie może się zdarzyć, że jedna z jego narodowości prowadzi politykę przeciwko państwu, do którego należy. Z tego wszystkiego taki wynika wniosek, że wszelka polityka państwowa jest zarazem narodową, ale nie odwrotnie. Także od bardzo dawna już wiemy, że powstanie państwa nie pochodzi z jakiegoś dowolnego zachcenia, ale że się staje koniecznością naturalną, żywiołową wtedy, gdy naród, w miarę wewnętrznego wzmacniania się, zapragnął przekroczyć dotychczasowe granice swej ziemi, albo został do tego zmuszony napaścią sąsiada. Na widownię dziejową naród wystąpił dopiero wtedy, gdy na tyle dojrzał, że wydał z siebie to prawo, które go jako państwo urządziło (państwowe, polityczne). Zanim jednak naród stał się historycznym, to na długo przedtem prawo to się w jego łonie tworzyło i rozwijało i razem z prawem obrotowem (cywilnem), wcześniejszem od politycznego, przygotowało wewnętrzne uspołecznienie, organizowało zbiorową siłę. Odtąd naród zaczął żyć życiem prawnem. Ale mimo to organizacya narodowa, moralna i naturalna, pozostała nietknięta. Poznajemy to po tych smutnych przykładach dziejowych, z których wynika, że naród dalej żyje, chociaż go pozbawiono państwa i poćwiartowano (4). Naturalna i moralna organizacya narodowa jest tedy bliższa

człowiekowi i od państwowej nieraz trwalsza. Po utracie państwowości, naród bezdomny sam prowadzi politykę, którą, z woli prawa, przedtem zajmowało się państwo rodzime, które niczem innem nie jest, jak narodem z państwową organizacyą (Hauriou). Polityka owego państwa była za jego istnienia narodową i taką też pozostała po jego zgaśnięciu. Ponadto mylnem jest zapatrywanie, że naród, mający państwo, żyje tylko życiem państwowem. Wszakże jest lub powinno być dążeniem narodów, politycznie dojrzałych, rozwinąć jak najobszerniejszy samorząd, co tyle znaczy, że naród, o ile to możebne, o tyle chce się rządzić niezależnie od państwa, czyli właściwie chce sam sobie starczyć, pozbywając się opieki państwa, jego władz i urzędów. Mamy wtedy dwa rządy w społeczeństwie, które nieraz ze sobą politykują, jeśli tego zachodzi potrzeba. Naród samoistnie zawiązuje stosunki polityczne z rządem własnego państwa. Ale ciała i władze samorządne możnaby właściwie lub niewłaściwie, uznać za instytucye państwowe. My jednak wnet obaczymy, że politykę mogą prowadzić jej działacze, bez prawnego upoważnienia, na korzyść państwa lub na jego szkodę (7). Ale mimo to utrzymuje się teorya, że nie ma innej polityki, jak tylko państwowej, i to nietylko zewnętrznej, ale także wewnętrznej. Mimo radykalnej zmiany warunków, powraca się ciągle do zapatrywania Arystotelesa na istotę polityki. Czem się to dzieje? Czy się to da naukowo uzasadnić? Otóż znalazła się na to teorya w szacie naukowej. Ale mniejsza o jej naukową wartość; ważniejsze jest to, że w nią wierzą i według niej postępują.

Wiadomo, że państwo zostało wyposażone dwojaką osobowością prawną. Jest osobą (podmiotem) prawa publicznego i obrotowego (cywilnego). Pierwsza osobowość nadaje mu zdolność zawierania stosunków prawnych z innemi państwami, a przez tę drugą może być podmiotem stosunków prawa prywatnego, majątkowego, na równi z innemi korporacyami i osobami fizycznemi (ludźmi). W prawach konstytucyjnych i wogóle w publicznych, nigdzie nie ma wypowiedzianej zasady, że organa państwa, gdy rządzą lub sądzą, to nie działają dla narodu i społeczeństwa, lecz dla państwa. Atoli według pomysłu K. F. W. Gerbera († 1891), któremu wtórują w Niemczech najwybitniejsi nauczyciele prawa politycznego (Laband, Jellinek), nasamprzód uważa się państwo, także w stosunkach wewnętrznych do swego obywatelstwa,

jako osobowość samoistną, jako osobne jestestwo prawne, mające swoje własne cele i dążenia, a następnie stosunek jego do obywatelstwa otrzymał w tej teoryi osnowę stosunków cywilnych majątkowych. W tych stosunkach mamy podmiot uprawniony, któremu służy władztwo nad rzeczą lub osobą o tyle, o ile ona jest obowiązana coś dla niego świadczyć, coś znosić, lub czegoś zaniechać. Właściwą i wybitną cechą tych stosunków majątkowych prawa cywilnego jest panowanie nad rzeczą własną lub cudzą i nad wolą człowieka. I właśnie tego rodzaju panowanie *(Herrschaft)* ma być, według owej nauki, niby jakiemś prawem podmiotowem (uprawnieniem), służącem państwu w stosunku do jego obywatelstwa. Ale to jest w niej znamienne i potworne, że treść i granice tego panowania w odpowiednich ustawach nie są określone według istotnych zasad i ideałów prawa, t. j. sprawiedliwości i słuszności, lecz dyktowane polityką (prawodawczą i administracyjną). Co zaś w tej teoryi najdziwniejsze, to to, że naciągając prawo dla jej wzmocnienia, uważa się stosunek panującego państwa do jego obywatelstwa jako historycznie i faktycznie dany, któremu nie potrzeba żadnej prawnej sankcyi. Prawo służy tylko argumentacyi, że chociaż się prawne racye zastąpi politycznemi, to się dochodzi do tych samych rezultatów. Podobnie jak wierzyciel panuje nad wolą dłużnika w granicach swoich uprawnień, tak państwo panuje nad wolą, ba nawet nad usposobieniem swych obywateli, ale z tą różnicą, że granice jego panowania zakreśla polityka w interesie państwa, bez względu na właściwości i potrzeby narodu. Konstytucya Rzeszy niemieckiej uważa każdego jej obywatela za Niemca, a swoją drogą pruska za Prusaka, z wszelkiemi tej politycznej fikcyi potwornemi i bolesnemi konsekwencyami. Niedawno temu (w marcu 1917 r.) w sejmie pruskim, odezwał się minister Loebell do posłów polskich: „Jesteście Niemcami i Prusakami!“ Te pojęcia są tak mało przystępne, że nawet trudno je zrozumieć i jasno wyłożyć tę mętną i ponurą teoryę (Hauriou). A jednak właśnie dlatego, że jest głęboko zaprawiona mistycyzmem, utkwiła w wyobrażeniach mas szerokich. W Niemczech dosyć często słyszy się od osób, nie mających pojęcia o istocie państwa, że jego sława i potęga wymagają ofiar i poświęcenia bez granic. Wierzą w to ludzie nie mający świadomości, że za temi wymaganiami stoją tylko ciasne koła interesantów, biurokracyi i rozmaitych wielmożów, i że państwo jako

takie, nie ma i nie może mieć żadnego celu odrębnego, któryby nie był narodowym (A. Menger). Tylko od narodu i w narodzie można się spodziewać zadowolenia. „Co nam państwo dać może, to są tylko twory sztuczne, a niestety! może zagrabić coś istotniejszego: nas samych“ (Herder).

Czyli też idea suwerenności państwa na wewnątrz, która rzekomo pochłania wszelkie indywidualizmy, osobnikowe i narodowe, po wojnie, która według zapewnień urzędowych, toczy się o wolność narodów, osłabnie w przekonaniu ogółu niemieckiego, czyli się też utrzyma i wzmocni? P. Fryderyk Naumann sądzi, że nowy człowiek, jakiego oczekiwać należy po wojnie, nieco inaczej urządzi swoje życie, i że to się przedewszystkiem wyrazi w jego stosunku do państwa, którego wagę i pożytek i znaczenie o wiele wyżej cenić będzie, niż dotychczas, dając mu przewagę nad wszelkiemi dążnościami indywidualnemi, zawodowemi, kulturalnemi i narodowemi. Frazesy mają twardy żywot.

Normalny stan rzeczy powinien być ten, że państwo, a właściwie jego ludzki aparat rządzący, powinien mieć przewagę nad jednostką, ale zarazem powinna być ustalona równowaga między władzami z jednej, a między niemi a reprezentacyą narodu z drugiej strony (Hauriou). Wtedy także nie przepadnie jednostka, a państwo nie będzie więzieniem narodu, ale tem, czem naród je mieć chciał, gdy na fundamencie prawa budował je dla siebie: jego rezydencyą, schroniskiem, warownią. A przypominamy za Herderem: nie chodzi tu o tyranię państwa, które jest tylko pojęciem, fikcyą, — nie ta mara tu straszy, ale bać się można ludzi żywych, którzy w niem rządzą. „Jeszcze nie było przykładu, ażeby tam, gdzie są całe rzesze władców i spółwładców, większość tychże nie zasmakowała w rozkoszy władania i nie zapomniała o swoich interesach osobistych“. Przyjmujemy tylko *cum grano salis* to powiedzenie znakomitego A. Mengera, tak jak A. Comte, gorącego przyjaciela maluczkich i ludzkości. A jednak trudno się uwolnić od niepokojących wrażeń, jakie w nas budzi.

6. **Polityka sztuką.** Rzymianie nazwali prawo sztuką *(ars boni et aequi, Ulpianus).* Również jak prawodawstwo wymaga polityka daru przewidywania, połączonego ze zdolnością przedmiotowego ocenienia rzeczy; tylko ten jasno w przyszłość patrzeć może, kto teraźniejszość widzi taką, jaką ona jest w istocie.

Genialnym prawodawcą albo politykiem może być tylko ten, u którego przedmiotowość jest tą siłą odporną, która nie pozwala na uleganie podmiotowym wrażeniom. Ale prawo i polityka głównie dlatego zasługują na zaszczytne miano „sztuki", że nie tylko są rezultatem myśli, ale też osobnych zdolności twórczych, intuicyjnie działających. W dobrej polityce wszelkie naśladownictwo wykluczone; ona powinna być w każdem społeczeństwie tworem oryginalnym. Oglądanie się na prawo opozycyi rzymskich trybunów doprowadziło do *„liberum veto!"* W rozwoju normalnym jest prawo i polityka rezultatem myśli i doświadczenia niewielu umysłów oryginalnych przy udziale całego narodu (prawo zwyczajowe).

W prawie i polityce należy odróżnić to, co w nie twórcza siła włożyła, od techniki tychże. Dla twórczości nie ma stałych reguł naukowych. Są tylko możebne wskazówki na to, w jakich warunkach ona może się rozwinąć i w całej pełni objawić, zaczerpnięte z istoty rzeczy i doświadczeń polityki, szczęśliwie albo niefortunnie przeprowadzonej.

Polityka jest sztuką trzeźwą, roztropną i rozumną. „Cechą rozumu jest zdolność zastanawiania się i samoistnego postanowienia i wierność temu, co się postanowiło" (Locke). Wierność męża politycznego sobie samemu wyzwala w społeczeństwie zaufanie do jego zamysłów i przywiązanie do jego osoby, nawet mimo niepowodzeń. Chwiejna polityka Austryi podczas wojny krymskiej pozbawiła ją zaufania Anglii i poparcia Prus. Za częste zmiany w celach i środkach politycznych, w których ogół niełatwo się oryentuje, zniechęcają go do polityki.

Dla bezdomnego narodu jest polityczne zobojętnienie początkiem jego zguby, jeżeli w czas nie zostało usunięte. Trafne przewidywanie przyszłego rozwoju stosunków jest polityce potrzebne także dla nadania jej pożądanej stałości, t. zn. ażeby ją można tak obmyśleć, iżby oddziaływała na rzeczywistość i z nią się zrównoważyła (*„pour agir sur la réalité et pour s'équilibrer avec elle"* — Hauriou).

Polityka jest sztuką trafnego doboru środków, prowadzących do celu, od czego też zależy sposób postępowania (Jan Dobrzański). Tu ciągłe zmiany, nawet nagłe, są pożądane w miarę zmiany położenia politycznego. W naszych czasach błyskawiczna zmiana w atmosferze narodowej należy do zja-

wisk codziennych. Ale bez potężnych i nadzwyczajnych wpływów i wrażeń, nader trudną nieraz bywa zmiana w postępowaniu politycznem, zwłaszcza wtedy, gdy tradycyjna metoda niegdyś przynosiła szczęście (Machiawel). Niechby kto był przed wojną, albo nawet w pierwszym jej roku, przekonał mądry rząd pruski o potrzebie bezpośredniego i tajnego głosowania. albo o szkodliwości eksterminacyjnej polityki nacyonalistycznej. Teraz on już myśli inaczej. Uporne trzymanie się w polityce raz obranego szlaku i używanie tych samych zawsze środków nazywa się doktrynerstwem. Jest to prowadzenie polityki według abstrakcyjnych, od politycznego życia oderwanych wskazań. Teorya ta powstała we Francyi, po rewolucyi lipcowej r. 1830, z głównej inicyatywy Fr. Guizot'a († 1874), który ją nazwał polityką prawidłowej średnicy *(du juste milieu)*. Jej myśl zasadnicza wyniesienia polityki na wysoki poziom filozofii była chwalebna, ale niemożebna do urzeczywistnienia. Co tylko do powodzenia politycznej akcyi jest potrzebne, powinna polityka z góry wymiarkować, gdyż eksperymentowanie i czekanie na rezultat jest wykluczone. Jeżeli gdzie, to w polityce należy pamiętać o tem, że *„eventus stultorum magister“*.

W polityce nic nie wolno powierzać szczęściu i przyszłości, lecz należy korzystać z chwili. Owo „lepiej późno niż nigdy“ równa się tu zazwyczaj tylko temu „nigdy“. Owa chwila sposobna, osobliwa może się sama nadarzyć i ujawnić czujnemu i wprawnemu oku polityka; jeżeli on jednak do potężnych należy, to może być przezeń przygotowana i przystosowana. W tym ostatnim przypadku, oczywiście, polityka doraźna jest wskazana, w innych może być konieczna polityka temporyzująca, polityka cierpliwości i czujnego wytrwania, co należy do najtrudniejszych zadań politycznej roboty. Ażeby śród burzy i przeciwności utrzymać się na powierzchni, potrzebna polityka cierpliwego przetrwania z olimpijskim spokojem. Bismarck opowiada, że jej się nauczył od rosyjskiego „izwoszczyka“, wiozącego go przez pustkowie śród szalonej śnieżycy, która groziła im zasypaniem razem z wehikułem i końmi. Gdy śród powtarzającego się niebezpieczeństwa zapytywał woźnicę: co z tego będzie? ten zawsze spokojnie odpowiadał: *„nu niczewo!“* My się od Kołłątaja dowiedzieć możemy, że niech się stanie co chce: *„nil desperandum!“* Czekać i nie tracić nadziei, ale też nie zakładać rąk bezczynnie i nic nie zdawać na przyszłość i na obcą pomoc.

„Oto jest sposobność doświadczenia działalności rozumu i woli naszej... Bojaźń i podłe oglądanie się, aby przyszłość uskuteczniła to, co wy dziś czujecie, zda się tylko na przyprawienie całej narodu powszechności o nowy upadek“... pisze Kołłątaj do Małachowskiego.

Polityka jest także sztuką uśmierzania namiętności, grania na uczuciach, gdy one biorą górę nad rozumem, według tego, może najlepszego filozoficznego przepisu, że namiętnych porywów nie pokonywa się rozumem, ale że o wiele pewniej spokojne afekty zwalczają namiętne. Jeżeli zaś do walki politycznej przyjść musi, to bywa ona wtedy arcytrudną sztuką, gdy chodzi o pokonanie przeciwnika bez jego upokorzenia.

Jest też polityka sztuką zachowania tajemnicy, nieraz koniecznego, bez obudzenia podejrzenia, że tajemniczość przeznaczona do zamaskowania klęski. W Anglii zwykłym sposobem odwrócenia podejrzenia jest odpowiednie zapytanie w parlamencie, zamówione po to, by z ławy rządowej padła odpowiedź, że musi być jeszcze zachowana tajemnica. Przez to jawne, urzędowe zapewnienie, ze źródła bezpośrednio zaczerpnięte, zostaje bodaj w części zaspokojona powszechna ciekawość o tyle, że się coś święci i że z czasem wyjdzie na jaw, co to było (*common curiosity* — Morley). Prócz tego lub po zatem, tylko pełne zaufanie do osoby polityka może uspokoić opinię publiczną, że ma się do czynienia tylko z uzasadnioną dyskrecyą.

Do sztuki prowadzenia polityki należy też taktyka, zręcznie obmyślana i przeprowadzona, ażeby jak najmniejszym wysiłkiem osiągnąć jak największe rezultaty i przygotowanie odwrotu na wszelką ewentualność.

Do najcenniejszych darów politycznego umysłu należy zdolność poznawania ludzi, przenikania charakterów, liczenia się z ich przymiotami i skłonnościami, a potem: kierowania masami i tychże opinią.

Gdy Maurycy Mochnacki przed gniewem ulicy znalazł schronienie u swego potężnego wroga, ks. Druckiego-Lubeckiego, to z relacyi o ich spotkaniu i kilkudniowym ze sobą obcowaniu wiemy, jak się umieli ci dwaj mężowie, będący jedynymi koryfeuszami powstania listopadowego, wzajemnie przeniknąć i uszanować.

Co do obchodzenia się z ludźmi i tychże traktowania, to istnieją dwie szkoły ze względu na odmienne pojmowania natury ludzkiej. Szkoła pesymistów (Machiawel i Guicciardini) jest zdania, że człowiek o tyle dobrze czyni, o ile do tego jest zmuszony; Sarpi, Tocquille uwzględniają z rozumną pobłażliwością naturę ludzką, która jest próżna i chwiejna. Ale kto chce tę próżność najwięcej wyzyskać, ten powinien gruntownie pozbyć się własnej. Inna szkoła optymistów (Mill, Burke, Fichte, Mazzini, Cromwell, Rousseau i i.) jest przekonania, że w każdem większem zbiorowisku przeważa zamiłowanie w cnocie i pogarda występku; taką zaś większość można zbliżyć do siebie tylko miłością i zaufaniem. Ludzie garną się do tego, który ich kocha, a najpewniejszym sposobem okazania im swego uczucia jest kochać ich rzeczywiście. Do owej selekcyi dobrych od złych potrzeba machiny wyborczej dobrze funkcyonującej, która najlepszych do rządu powołuje. „Trzeba raz na zawsze porzucić myśl zgubną w polityce, że posady państwowości można wzmocnić jakiemiś osobnemi sztuczkami wyborczemi, które trącą algebrą lub decymałkami". Ten podkreślony dodatek w cudzysłowie pochodzi od Morley'a, za którym rzecz powyższa jest powtórzona; Morley patrzał na wybory... w Galicyi hiszpańskiej.

Obok rozwinięcia odpowiedniej energii, która też od temperamentu zależy, polega sztuka zawładnięcia opinią na tem, ażeby polityk umiał uwzględnić psychologiczne rzeczywistości, w duszy zbiorowej drzemiące, świadomości i podświadomości, a w razie i w miarę potrzeby, wzniecić zapał we właściwą buchający stronę, lub zwrócić ku niej żywiołowe odruchy. „Niepojęty skład umysłu ludzkiego potrzebuje, dla ożywienia zardzewiałych uczuć, przenieść się czasami do stanu wstrząśnień, który powszechnie entuzyazmem nazywamy" (Mochnacki).

W naszych niebezpiecznych warunkach, które dziś jeszcze trwają, powinny osobistości, w polityce miarodajne, okazać hart charakteru i jak najsilniejszą odporność wobec pokus, ze wszystkich stron i kątów nęcących. Powinny sobie w duchu ciągle powtarzać za Al. Fredrą (ojcem): „I nie wódź mię na pokuszenie Ojców moich wielki Boże!"

Najlepszą ochroną od tych pokus jest polityka samoistna. Zalecił ją Milewski radząc, że politycy powinni uważać swój

naród jako samodzielny i własnowolny, chociaż nie ma jeszcze własnej państwowości, i w tym duchu z drugą stroną rozmawiać. Ś. p. Zygmunt Balicki na poważne zapytanie, z kim nam trzymać należy? — dał tę krótką odpowiedź: „A z Polakami!"

7. **Politycy.** Z poprzedniego (6) to wynika, że trudną i niebezpieczną sztuką polityki mogą się skutecznie zajmować albo jedostki, odpowiednio ukwalifikowane, albo szczupłe grona takichże osób, należycie dobrane, ażeby albo jednomyślność była zapewniona (Ministerstwa), albo, w kwestyach mniej zasadniczych, mniejszość poddawała się łatwo większości. Podobnie jak w prawie mamy pełnomocników i zawiadowców bez zlecenia *(negotiorum gestores)*, tak samo działacze polityczni prowadzą akcyę na zlecenie lub bez zlecenia, samozwańczo. Do pierwszych należą urzędowi reprezentanci państwa do prowadzenia polityki międzypaństwowej. Oprócz nich prawnie ważne zlecenie, obejmujące także politykę wewnętrzną, posiadają naczelnicy władz państwowych i autonomicznych, a potem też posłowie do ciał reprezentacyjnych, naczelnicy, wydziały, komitety stronnictw zalegalizowanych.

Obok polityki międzypaństwowej mamy też politykę międzynarodową w ścisłem tego słowa znaczeniu wtedy, gdy z pominięciem urzędowych przedstawicieli państwa, działacze polityczni bez prawnego zlecenia nawiązują stosunki polityczne z obcym rządem lub narodem, należącym do innego państwa. Następnie mamy takich samych zawiadowców, prowadzących politykę wewnętrzną (przewódcy, wydziały stronnictw bez legalizacyi, mężowie zaufania grup robotniczych i t. p.). Ci zawiadowcy albo mają zlecenie, atoli bez prawnej podstawy, albo są zawiadowcami bez zlecenia, prowadzącymi politykę na własną rękę. Ma ich zawsze naród bezdomny, a państwowy także się bez nich obejść nie może, zwłaszcza wtedy, gdy rząd państwa nie domaga.

Większe zbiorowiska, ani nawet parlamenty, nie prowadzą bezpośrednio polityki, lecz prowadzą ją osoby, którym powierzono przewodnictwo polityczne. W Anglii przy zmianie większości tak bywało, że większość otrzymywała oficyalnego przewódcę. Rzeczą jest owych menerów zapewnić sobie poparcie stronnictw w parlamencie i w społeczeństwie, tudzież pozyskać sobie opinię publiczną.

Polityka urzędowa składa się z dwóch części; 1. z aktów urzędowych, jak wręczenie noty, zawarcie układu i t. p.; 2. akty te poprzedzają rokowania, dla których szczegółowa instrukcya jest niemożebna i które nie mają skutków prawnych. W polityce nieurzędowej wszelkie jej czynności są wyłącznie tylko polityczne; nikogo prawnie nie obowiązują. Za tem idzie, że nawet polityk urzędowy nie może być prawnie pociągnięty do odpowiedzialności za te części jego zabiegów, które stanowią właściwą akcyę polityczną. Za złą, opieszałą politykę nie ma rękojmi, polegającej na prawnej odpowiedzialności. Minister odpowiada tylko za złamanie konstytucyi, następnie minister i inni działacze polityczni o tyle, o ile może im być udowodnione, że rozmyślnie lub z opieszałości nie dotrzymali obowiązków prawem nałożonych. Kara za to wymierzona nie usunie ujemnych skutków popełnionych błędów politycznych.

Ale możebne są rękojmie moralne, że nie łatwo zdarzą się owe błędy. Polegają na tem, że wysłannik polityczny zostaje obdarzony mandatem rzeczywistym, pochodzącym z zaufania do jego zdolności i moralnej wartości (8). Tego mandatu nie udziela prawo, które często gęsto zadowalnia się formalnem oświadczeniem woli, **przypadkową** większością wypowiedzianem (np. wybór posła, który zdrożnemi praktykami lub abstynencyą przeciwników przyszedł do skutku; uchwała parlamentu, zapadła przypadkową większością; nominacya, protekcyą uzyskana i t. p.). To są fikcye, któremi się prawo z dobrej racyi posługiwać musi. One są wyłączone z życia politycznego; tam wszystko musi być rzeczywistością, jeżeli akcya polityczna ma być rzetelna, skuteczna, przez ogół zrozumiana i uznana. Mandat powinien pochodzić od rzeczywistej większości i wogóle od woli niczem nie uprzedzonej, z opinią zgodnej. Zaufanie, demagogiczną zręcznością wyłudzone, trwa tak długo, aż się zbałamuconym adherentom otworzą oczy. Mandat, oparty na zaufaniu, w sposób powyższy ujawnionem, nazwać można politycznym, w odróżnieniu od prawnego po formie.

Geniusz polityczny sam, po dyktatorsku, bierze mandat z własnej mocy, który naród politycznie dojrzały, zawsze uznaje, jeżeli nie należy do tych, co kamienują swoich proroków. Nawet otrzymane zlecenie, przypominające mu zależność od mandanta, nie przeszkadza w uzyskaniu politycznej władzy dyktatorskiej. Szczę-

śliwy naród, który w potrzebie miał genialnego męża stanu. Każdy geniusz jest wytworem narodowym. Szekspir był na wskroś Anglikiem, Mickiewicz najlepszym Polakiem. Wielkim jest ten, którego Bóg obdarował zdolnością przedmiotowego widzenia rzeczy i który wyrobił w sobie zasadnicze przekonania, wierzenia i myśli, jakich mu tradycyjny świat myśli nie dostarczył. Z tego, że między ludźmi zdarzają się takie duchy, poznajemy, że człowiek nie jest tylko wytworem otoczenia, skropleniem społecznej atmosfery, albo właściwie, że nie jest koniecznem, aby tem tylko był (Eucken). Duchy te wybrane nie są gwiazdami stałemi lecz kometami. Ale cząstkowe twórcze zdolności w tej lub owej dziedzinie wiedzy i zręczności są rozsiane po umysłach przeciętnych. Emanacya tychże, osobna lub zbiorowa, daje początek i postęp życiu ludzkiemu, niespodziewany, przypadkowy, którego nam nieubłagane prawo biologicznej ewolucyi nie wyjaśni. Z temi niespodziankami, z tą przypadkowością w życiu ludzkiem i w rozwoju społecznym musi się liczyć polityka (Morley).

8. **Moralność polityka.** Polityczny tutuł zaufania jest tylko zbyteczny dla mocarzy, jeżeli naród się przekonał, że umieją sobie dobierać doradców i tychże cenić (Wilhelm I. i Bismarck); podobnie rzecz się ma co do geniuszów, jeżeli opinia mocno uwierzyła w ich wyższe zdolności i na ślepo pisze się na ich program. Ale geniusz jest rzadką improwizacyą. Mocarzy zaś władza topnieje w wysokiej temperaturze nowoczesnego życia publicznego. A potem: czyli dla dalszego rozwoju narodów i ludzkości wielcy ludzie koniecznie potrzebni? Powiedział Emilio Castelar († 1899), znakomity i szlachetny filozof i polityk hiszpański, że chwała Bogu! nie ma już wielkich ludzi, kandydatów do tyranii, albowiem plemię ludzkie już wysoko podrosło i samo chce o sobie stanowić. Mimo to potrzeba kierowników i pracowników politycznych. Jeżeli im braknie genialności i władzy, ale oczywiście nie zbywa na potrzebnych zdolnościach i wiedzy politycznej, ogółowi znanych i przezeń uznanych, to stoją tylko zaufaniem, zaskarbionem osobistą kwalifikacyą moralną, tem lepszą, im jest wyższej miary.

Nieskazitelny charakter bez najmniejszego cienia samolubstwa, czystość zamiarów, wierność zasadom, gotowość do wszelkich ofiar i poświęceń, poczucie moralnej odpowiedzialności za siebie i innych, gdy polityk jest tylko doradcą, oto przymioty moralne, za

które społeczeństwo płaci zaufaniem, nawet zepsute, zdemoralizowane albo zbałamucone uciskiem lub powikłanemi stosunkami, w których nie łatwo się zoryentować. Każde społeczeństwo w trudnem położeniu — (a teraz wszystkie narody w takiem się znajdują) — czuje instynktownie potrzebę powierzenia się opiece i pieczołowitości mężów swego zaufania, nawet w sprawach aprowizacyjnych. Wybiera ich sobie, polegając więcej na ich osobistej wartości i zdolnościach aniżeli na programach. Tak było dotąd w Królestwie, po rewolucyi listopadowej, któremu polityczny autorytet wybrańców narodu był wszystkiem; to miało też ten dobroczynny skutek, że się masy łatwo godziły na zmianę w działaniu politycznem, gdy się okazało, że dotychczasowa taktyka była mylna, albo że zaszła potrzeba jej zmiany wskutek przemian stosunków (Z. Noskowski w „Głosie Narodu").

Zaufanie idzie w parze z sympatyą, która powstaje między dwiema stronami, gdy obydwie dążą do tego samego celu, a zwłaszcza w życiu publicznem, jeżeli jedna strona prowadzi drugą, z tejże woli i zaufania (Lubomirski). W życiu prywatnem nawet, gdy strony są zbliżone przyjaźnie, powstają rywalizacye. Jeżeli polityk ma dobrą sławę u ogółu, uzyskaną znakomitymi przymiotami i dobremi dziełami, to mu to zapewnia więcej przychylności ogółu, aniżeli sława przodków; ogół obdarzy go wtedy zaufaniem, a w dziejach mamy przykłady, że taki ogół w wyborze mniej się myli, aniżeli panujący (Machiawel).

Człowiek nie ma dwoistego charakteru, osobno publicznego a osobno prywatnego, lecz tylko jeden, dla siebie, rodziny, towarzystwa i społeczności. Wszędzie musi okazać charakter nieskazitelny. Pijak, karciarz, wszetecznik, może być wielkim artystą, literatem (Oscar Wilde); Bacon Werulamski pozostanie po wszystkie czasy wielkim reformatorem metod naukowych, chociaż był przekupnym kanclerzem. Wszystkim przebacza się domowe słabostki; ale polityk żyje jakby w latarni; nawet życie prywatne podlega ścisłej obserwacyi i kontroli; czuwa nad niem zazdrość rywalów. Naród musi mieć przeświadczenie, że polityk nie łatwo się potknie i z drogi prawej zboczy; on powinien być istotą „najprzedniejszego gatunku, upartą w dobrem, a złu niepodległą" (Józef Weyssenhof). Tej rękojmi nie dostarczy życie publiczne, a zwłaszcza polityczne, z konieczności kryjące się często w cieniach, mrokach i ciemnościach; wtedy wyłącznie, a zresztą

zawsze lepszą daje gwarancyę wzorowe życie prywatne, każdemu dostępne, albowiem wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. W Anglii, Francyi, Ameryce, nie dowierzają w życiu publicznem temu, kto w prywatnem nie jest dobrym gospodarzem.

Charakter polityczny ma być zarazem żelazny, niezachwiany. Mężowi politycznemu nie wolno tak jak innym śmiertelnikom stanąć nad ruiną i z załamanemi rękami oddać się żalowi. Polityk co się zowie, powinien celować energią woli, posuniętą do ostateczności, do gotowości poświęcenia swej osobistości, swoich interesów i karyery (Dr. Friedjung), nawet do narażenia się na śmieszność (hr. Albert Apponyi), byle zwyciężyła idea, której ślubował wierność bez żadnych zastrzeżeń. Ta wierność zasadom i celom politycznym jest cnotą polityczną, która wzmacnia zaufanie. Nie stoi to w koniecznym związku z trzymaniem się obranej metody i z przynależnością do stronnictwa. Nigdzie tak często nie zamienia się stronnictwa jak w Anglii. Ogół to uwzględni, jeśli jest jawne, szczere, nie podyktowane tchórzostwem lub oportunizmem. Ten jednak na zawsze utracił zaufanie u myślącego ogółu, kto jak szczur opuścił tonący okręt wtedy, gdy się oportunizmowi niedowarzonego polityka wydawało, że statek bliski zatonięcia.

„A choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie, ocalić lub zginąć".
(Niemcewicz).

Między politykami odróżniamy wodzów, kierowników od pomocników. Urzędowych kierowników i mandataryuszy wskazuje nominacya i zlecenie; zawiadowcy bez zlecenia otrzymują przewodnictwo bądź przez to, że ich widoczne zdolności i zasługi obudziły większe zaufanie, bądź przez to, że demagogiczną zręcznością ślepą wiarę w swe dobre chęci umieli wyłudzić.

Najsilniejszą rękojmią zaufania jest przekonanie ogółu o zupełnej bezinteresowności i abnegacyi, posuniętej do askezy. Opinia publiczna wtedy tylko chętnym wzrokiem patrzy na osobiste powodzenie polityka, gdy on już stał się ulubieńcem narodu przez swoje trudy i zasługi. Naprzód miłość rodaków, a potem dopiero bogactwa, zaszczyty i władza.

Oto jest naturalna kolej politycznych dorobków. Kto od władzy zaczyna, ten niech pamięta, że nie masz przymusu do miłości. Bez niej zaś nie trafi polityk do serca rodaków.

Najwięcej zaś zniewala do najwyższego serdecznego zaufania, gdy naród poznał, że polityk ma jak najsilniejsze poczucie odpowiedzialności wobec własnego sumienia. Nie może to zaszkodzić, lecz przeciwnio tylko może wzmocnić wiarę w sumienność w polityka, gdy się wie, że przyjmuje obowiązki swego zawodu w duchu religijnym, jako obowiązki wobec Boga, które bezwzględnie muszą być spełnione, choćby z trudem i ofiarą. Obawa sądu spółczesnych mało tu znaczy, a historya niekoniecznie jest sprawiedliwą.

Na polityku ciąży moralny obowiązek postawić się moralnie tak silnie, ażeby go nie łatwo było obalić. Może na tem bowiem ucierpieć sprawa narodowa, którą ujął w swoje ręce. Mąż polityczny powinien zawsze o tem pamiętać, że nic tak wielkiej nie budzi zazdrości, jak powodzenie w sprawach politycznych. Wtedy rozsierdzone zawistne duchy nie gardzą żadnym sposobem i środkiem, ażeby mu przeszkodzić w osiągnięciu sukcesu i pozbawić zaufania. Komu raz się noga powinęła ten niech ustąpi, przyznając się do klęski; tem tylko może uzyskać rehabilitacyę, jeśli ona wogóle możebna. Ale zdarza się, że jego przyjaciele, polityczni i niepolityczni, sztucznie go śrubują w górę i przy pomocy możnych spółwinnych sadzają na wysokich stołkach. Najgorszą mu tem świadczą przysługę, bo świat zapomina tylko o winach tych ludzi, których stracił z oczu.

9. **Cele polityczne.** Ze względu na znaczenie państwa dla narodu (5), które jest jego domem, własną pracą i krwią zbudowanym i spojonym, mogą mieć starania, polityką zwane i w tej nazwie na państwo *(politeja)* wskazujące, tylko to znaczenie, że są zabiegami, które się łączą z państwem teraźniejszem lub przyszłem. Celem stałym i ogólnym starań politycznych dla narodu bezdomnego jest odzyskanie własnego państwa; dla narodu zaś mającego państwo rodzime, jego utrzymanie i wzmocnienie. Należy to, co polityką zowiemy, do tego celu ograniczyć, ale przytem zaznaczyć, że cel ten nie tylko polityce przyświeca i że nie jest (aby tak się wyrazić) jej wyłącznym przywilejem. Obowiązkiem jest rządu państwa starać się o jego zabezpieczenie na przyszłość; wzorowe życie prywatne obywatelstwa umacnia państwo istniejące albo jest przygotowaniem jego przyjścia. Do istoty starań politycznych należy to, że one się bezpośrednio i świadomie odnoszą do narodu, a do państwa dlatego, że ono już

służy narodowi albo w przypadku, że go nie ma, naród je przez nie ma uzyskać, odrazu albo etapami, a więc na razie dąży do większej samodzielności. Wzmocnienie zaś państwa nastąpić może tylko przez postęp w rodzimej cywilizacyi i kulturze. Przez cywilizacyę należy rozumieć stan społeczny, a przez postęp w tejże ciągłą poprawę uspołecznienia, czyli tego wszystkiego, co pożycie społeczne czyni doskonalszem, jak np. poprawa konstytucyi (naprawa Rzpltej), rozwój rolnictwa, uprzemysłowienie, podniesienie rzemiosła i t. d. Kultura ma na celu wszystko, co uszlachetnia jednostki: oświatę, wychowanie, popieranie nauki i sztuki i t. d. W zakresie kultury praca około jednostek jest zarazem pracą dla narodu. Ale z tego, co służy części spływa zawsze pożytek na całość. Zatem polityka może mieć staranie o jedną tylko dzielnicę narodową, o kraj, powiat albo też o jedną tylko gminę, która jest niejako narodem w miniaturze, bo tak samo z rodzin się składa. Przewielebny proboszcz w Albigowej, podnosząc stan oświatowy i ekonomiczny swojej parafii, niezawodnie oddał wielkie usługi narodowi, spełnił czyn polityczny. W warunkach wyjątkowych może się polityka odnosić bezpośrednio tylko do jednej rodziny, jeśli np. z dynastyą są związane losy narodu, albo też do jednej osoby: do panującego, prezydenta rzeczypospolitej, ministra, tego lub owego kandydata na posła, radnego w stolicy, jak niedawno w Warszawie i t. d. Takim bezpośrednim przedmiotem starań politycznych może być też jakiś zakład naukowy, przemysłowy lub inny. Niedawno temu był lwowski Uniwersytet Jana Kazimierza celem i przedmiotem zabiegów politycznych, gdy trzeba było walczyć o zachowanie jego polskości. Wiadomo, jakie olbrzymie znaczenie polityczne miały starania o reaktywowanie Uniwersytetu i Politechniki warszawskiej, jako uczelni polskich. Także starania o powstanie zakładów ekonomicznych, o utrzymanie tychże lub o uruchomienie nieczynnych, może mieć cel polityczny wtedy, gdy to pożądane dla podniesienia stanu ekonomicznego w narodzie. Polityka może mieć na celu wytworzenie jednej warstwy narodu (np. polskiego mieszczaństwa) albo tejże wzmocnienie lub utrzymanie (polityka ratowania polskiej własności). Mając na względzie przedmiot politycznej akcyi, około którego obraca się konkretna akcya polityczna, dochodzimy do pojęcia celów politycznych pośrednich czyli bliższych Milewski) i możemy w myśli i praktyce rozgatunkować politykę

na nieskończoną ilość odmian, biorąc dla nich nazwy z tych jej przedmiotów. W tem rozumieniu mówi się, że jest prowadzona polityka agrarna, kościelna, wyznaniowa, przemysłowa, szkolnictwa ludowego, wykształcenia wyższego i t. p. Ale akcyą polityczną godzi się nazwać i jako taką ocenić tylko staranie, które nie służy wyłącznie kościołowi, wyznaniom, przemysłowi, ludowi i t. d., lecz zarazem i przedewszystkiem narodowi. Zazwyczaj da się ocenić tylko w każdym przypadku z osobna, czyli odpowiednie zabiegi są polityczną służbą narodową, czyli wysługiwaniem się tylko koteryom, kultem interesów tychże lub swoich własnych. Powiedział Seneca: *„pauci reges non regna colunt“*. Słowa te nasz pisarz w ten sposób pojmuje, że godziwą jest rzeczą zachować wierność królowi, ale są tacy, którzy służą tylko jego fortunie (Lubomirski). Wtedy służba królewska nie jest narodową.

10. **Metody polityczne i pojęcie polityki.** Naród podbity, nie mający cienia samoistności, gdy patryotyzmem uniesiony, postanowił kres położyć bezpaństwowości, a musiał zerwać z rewolucyą, ma tylko jedną drogę do mety politycznej. Wobec rządu rodzimego usiłowania te zbyteczne, jeżeli odpowiednie czynniki państwa, każdy z osobna i w harmonijnym zespole, spełniają swe obowiązki jak należy. Naród niemiecki, przyzwyczajony do opatrznościowych rządów ambitnej biurokracyi, do ulegania autorytetowi zmierzchności, mimo wybuchu wojny był politycznie bierny aż do do chwili, gdy go ruszyła troska o chleb powszedni. Aż do tej chwili, w narodzie polityki tak dobrze jakby nie było wcale; ale teraz całe społeczeństwo w politycznych dreszczach żąda nawet spółudziału w polityce zewnętrznej, rzeczy przedtem niesłychanej. Polityka wewnętrzna wobec rządu obcego lub opieszałego jest jakby egzekucya w prawie, ale innemi środkami i tak jak egzekucya tam zbyteczna i niepożądana, gdzie jej nie potrzeba.

Stwierdzamy zatem, że polityka wewnętrzna jest u narodu berdomnego regułą, u państwowego wyjątkiem. Pojęcie naukowe tworzy się według reguły z pominięciem wyjątku. Obserwacya nas przekonywa, że się ją dla narodu bezdomnego prowadzi metodą dwojaką: agitacyą i dyplomacyą. Zamykając badania istoty polityki sformułowaniem jej pojęcia, możemy ją tak określić, że jest staraniem jednostki lub szczupłego

grona o postęp w cywilizacyi lub kulturze narodu sposobem agitacyjnym lub dyplomatycznym.

Jeden szkopuł jeszcze musi być usunięty. Całe powyższe rozumowanie i podane określenie upadną, jeżeli przyjmiemy, że bezpaństwowość narodu jest jego stanem wyjątkowym. W teoryi tak się rzecz przedstawia, że każdy naród powinien mieć swoje własne państwo. Ale historya polityki i wojen zaborczych ostatniej doby dziejowej, tudzież mapa światowa wręcz temu przeczą.

Politykę dzielimy na wewnętrzną i zewnętrzną. Tej ostatniej mamy dwie odmiany: międzypaństwową, która się oficyalnie nazywa międzynarodową w tej supozycyi, że jedynie w imieniu państwa polityka może być prowadzona. Ona jest urzędową i ciągle musi być czynną. Od niej odróżnić należy politykę międzynarodową w dosłownem tego słowa znaczeniu (4).

Mówi się też o polityce czynnej i biernej, czyli o polityce neutralnej rezerwy, której najsilniejszą odmianą byłaby polityka biernego oporu (np. Węgrów przeciwko konstytucyi Schmerlinga od r. 1861 do r. 1867). Ale w rzeczywistości jest to świadome celu zachowanie się ludności, do jakiego ją umiała przekonać i nakłonić czynna agitacya polityczna.

11. **Agitacya.** Jest to działanie dodatnie, którego skutkiem ma być wzbudzenie u ogółu pożądania tego, co się uznało za dobro polityczne, będące na czasie (np. powszechne głosowanie, powszechna służba wojskowa, wojna, pokój i t. p.). Agitacya miała powodzenie, jeżeli zapanował w umysłach silny nastrój na temat owego dobra, a na tle tego nastroju tak mocno utrwaliła się wola zbiorowa jego uzyskania, że ją postanowiły uwzględnić, w części, lub w całości, czynniki społeczne, w tej sprawie miarodajne (rząd, władze autonomiczne, zakłady publiczne i prywatne, klasy posiadające lub proletaryat, kapitaliści, gdy np. agitacya zniewoliła ich do ofiarności na cele publiczne i t. p.). Polityka jest samopomocą narodu bezdomnego lub źle rządzonego.

Umiejętna agitacya odbywa się pod hasłem, t. j. formułką, krótko, jasno, przystępnie i przekonywająco rzecz ujmującą. Ludzki zmysł powszedni *(common sense)* jest całkiem nieczuły wobec najmniejszej wątpliwości. Nieraz potrzeba agitacyi przygotowawczej dla uprzedzenia i objaśnienia opinii, aby hasło, gdy zostanie wydane, w mig było pojęte i potrzeba jego spełnienia zrozumiana. Wtedy choć sprawa jest bardzo zawikłana, wystarczy

nieraz do zjednania umysłów hasło jednosłowne (konstytucya! legiony!). Tu chodzi o wywołanie nastroju, którypy zastąpił rozumowanie i zrozumienie, a to nawet w agitacyi uczciwej, jeżeli sprawa nie cierpi zwłoki, a pouczenie ogółu wymagałoby dłuższego czasu. Ale zazwyczaj potrzeba hasła, odnoszącego się do rzeczy już powszechnie znanych, które zwięźle, z uderzającą prostotą, rzecz jasno przedstawia, — hasła, które dusza zbiorowa, mało pojętna, chwyta i chłonie. Inaczej agitacya chybia celu, choćby je władne czynniki rozpoczęły. Mamy na to doświadczenie co do słynnej rezolucyi Sejmu galicyjskiego z r. 1868. Nagle, bez należytego przygotowania Sejm ją uchwalił. I dlatego wnet przebrzmiało jej hasło, nawet przez tych porzucone, którzy je wydali; a byli to mężowie stanu o silnym temperamencie politycznym, jak Grocholski, Zyblikiewicz, Jan Dobrzański. Tak się stało i stać musiało z tej prostej przyczyny, że inicyatorowie rezolucyi zapomnieli pomyśleć o budżecie kosztownej autonomii, rezolucyą objętej. Ale opinia publiczna, może tylko półświadomie odczuła, że w osnowie rezolucyi została pominięta kwestya żywotna autonomii, bez której byłaby ona tylko marną złudą, i nie dała się pociągnąć hasłem zwodniczem. To też o wiele większe powodzenie miała agitacya, przed laty kilkunastu rozpoczęta, za autonomią, o wiele obszerniejszą od rezolucyjnej, bo dążącą do zupełnego wyodrębnienia kraju, przez jedno tylko stronnictwo podjęta, albowiem była oparta na budżecie, z fachowem znawstwem wypracowanym. Ta agitacya została, przy pomocy stronnictw rządowych w kraju, stłumiona, ale jej hasło padło teraz (dnia 4. listopada 1916 r.) z wysokości tronu.

W historyi tej rezolucyi sejmowej mamy przykład hasła przedwczesnego, które jednak mimo to nie było nadaremne, a więc jedynie o tyle było przedwczesne, że nie miało skutku bezpośredniego, aż z czasem, w chwilach sposobnych powtarzane, padło na grunt podatny i podziałało z twórczą siłą. Do sztuki agitacyjnej należy wypatrzenie i poznanie, w której to chwili grunt dla przyjęcia myśli hasła dla tego jest już przygotowany, że społeczeństwo już się znajduje w silnym ruchu, sprzyjającym danej myśli (Morley).

Przed dziesiątkami wieków uderzyły hasła chrześcijańskie o wolności, równości ludzi, jak błyskawice, w zbiorowiska uciskane, ale nikt nie odgadł, jak je należy urzeczywistnić, ażeby

w państwie zapanowała równość i wolność obywatelska. Dopiero Burke († 1797), po wiekach konstytucyjnego życia w Anglii, pochwycił istotę wolności obywatelskiej w tezie, że nie ma tam ani cienia wolności, gdzie ludność nie ma władzy udzielania rządowi pieniędzy. Odtąd prawo corocznego uchwalania podatków jest hasłem tej wolności, bardzo przystępnem i zrozumiałem (Morley).

Agitacyę prowadzi się rozmaitymi środkami: pismem, mową uczynkiem, wiecami, odczytami, zakładaniem stowarzyszeń, obchodami, demonstracyami i t. d. (Milewski, str. 292 i n.). Obchody narodowe, w kościele, teatrze, na ulicy, mogą się przyczynić do „skupienia się w duchu narodowym, do własnego pokrzepienia się, do oczyszczenia się ze złego z przeszłości, do wzmożenia w dobrem dla przyszłości, jeżeli w nich nie ma tylko popisu, próżności, urągania innym, wynoszenia się nad innych“ (Goszczyński). Kościół uważa publiczne manifestacye uczuć religijnych za potrzebne w życiu religijnem; dlaczegożby miały uwłaszczać a nie służyć poważnej polityce?

Agitacya prowadzi się też dla użytku polityki zewnętrznej, ażeby w świecie wywołać odpowiedni nastrój. Czyny poruszające kwestye, świat cały obchodzące, jak np. manifesty listopadowe, bywają takimi aktami agitacyjnymi, jakoteż przemówienia w osobliwszych okolicznościach wygłaszane. Agitacya oratorska bywa brzemienna w skutkach, co zależy od tego, kto przemówił i z jakiej trybuny. Agitacyjne były przemówienia parlamentarne Beaconsfielda w r. 1877 i Bismarcka w r. 1888, przeciwko Rosyi skierowane; pierwszy to był rozdźwięk polityczny między Prusami a Rosyą, który wbrew intencyi i nadziei mowcy nie rozwinął się w akordy zgodliwe... Agitacyjną też była mowa hr. Andrassy'ego za Polską, miana dnia 19. czerwca 1916 r. w Sejmie węgierskim. Hasło agitacyjne, trafnie wybrane i doskonale wyrażone, a w chwili odpowiedniej rzucone, — ono skutku nie odniesie, jeżeli agitacya nie umiała uderzyć w ton właściwy, który ze społeczeństwa wyzwolił spółdźwięki, na które jego dusza była nastrojona, — jeżeli na hasło nie dał się słyszeć odzew, jemu wtórujący i dlatego spodziewany. Warunkiem przeto koniecznym do wywołania spółdźwięczności między agitacyą a społeczeństwem iest wzajemne dostrojenie (Jentys).

Mamy agitacyę i kontragitacyę; nie zawsze ta ostatnia musi być pierwszej szkodliwą. Przeciwnie, może być dobroczynną, i to nie tylko wtedy, gdy pierwsza jest zdrożna. Walki stronnictw są pożądane, gdy się je rozpoczyna w imię politycznej uczciwości, a w nich nie chodzi o ludzi i prywatę, ale o zasady. W ogniu tych walk złoto prawdy się czyści; odosobnienie, zwłaszcza ze stłumienia opozycyi wynikające, prowadzi do jednostronności, która nie sprzyja poznaniu prawdy życiowej. W narodzie dojrzałym muszą istnieć stronnictwa polityczne, a postęp w polityce nie da się pomyśleć bez politycznej między niemi rozprawy. W Anglii dotąd zacięte walki polityczne kończyły się kompromisami, bo to nie były zapasy ludzi powaśnionych, ale tylko w tem poróżnionych, co się ojczyźnie należy (Morley).

Zazwyczaj niebezpieczną i szkodliwą bywa kontragitacya, która przeciwko agitacyi za dojrzałą myślą polityczną, uruchomiła uczucia i namiętności. Agitacya polityczna nawet wtedy potrzebna, gdy jest zamierzona polityka bierna. Powściągliwe zachowanie się społeczeństwa tylko wtedy jest stanem politycznym, gdy społeczeństwo zostało uświadomione, że tak się pewniej i epiej cel osiągnie lub uniknie nieszczęścia. Czasem trudniej uspokoić, aniżeli ruszyć. Zresztą bierność polityczna, rozmyślna i celowa, nie jest i nie powinna być bezczynnością, lecz ma być wykorzystana dla pracy u podstaw, pozornie apolitycznej. Ażeby zniewolić społeczeństwo do cichej, żmudnej pracy, pozbawionej zewnętrznego uroku i ponęty, potrzeba agitacyi o wiele zręczniejszej, aniżeli tej, która ma doprowadzić do wiecowania i innych wystąpień publicznych, nęcących swoją teatralnością.

Wielkie i ważne znaczenie ma agitacya dla obudzenia warstw społecznych do życia publicznego, które w taką zapadły martwotę, że są „jak ta woda stojąca; popchniesz ją — rozleje się —; chcesz ją zapalić — mokra; użyć do obracania młynów — nie płynie; ale gdy ją trącisz, to pluśnie“... (Józef Weyssenhof).

I tak widzimy, że choć powierzchnia morza społecznego cicha i skokojna, to pod nią tętni życie. Ale to co się życiem społecznem nazywa, jest zmianą i przemianą, powstawaniem i znikaniem stosunków społecznych. „Nie ślepe, tajemne siły, lecz działanie ludzi wytwarza stosunki społeczne“ (Milewski). Działanie na masy, wzbudzenie potrzeby i chęci do udziału w życiu publicznem w jednostkach, to jeden z głównych celów agitacyi polity-

cznej. Dopóki jednostki nie czują potrzeby do brania udziału w ruchu społecznym, dopóty nie ma mowy o wzniesieniu się narodu na wyższy poziom postępu.

12. **Dyplomacya.** Mamy dyplomacyę mówiącą i wymownego milczenia. W polityce uczciwej (23), bez kłamstwa, uwodzenia, łudzenia i bez niedomówień, które budzą niepokój i wątpliwości, byłaby dyplomacya mówiąca sztuką wypowiadania prawdy, takim sposobem, ażeby w oczy nie kłóła, co będzie rezultatem odpowiedniego zręcznego zespołu: treści, formy i giestu. Dyplomacya ta słowna jest niejako osobną sztuką pośród sztuki politycznej. O ile naród jest politycznie dojrzały, o tyle całe warstwy, dzielnice, miasta, biernem zachowaniem się wnoszą nieme, ale wyraźne protesty, dobywają się na powściągliwość i pozorną obojętność i rozbrajają gniew wroga postawą pełną godności i powagi (Poznańskie, Finlandya). Wskutek takiego zachowania się społeczeństwa, w Królestwie zwolna lecz stale ucisk się zmniejszał. Społeczeństwo wytrzymało, choć, wobec ciągłych prowokacyi wroga, trudno było panować nad sobą do ostateczności, a jeszcze znosić wyrzuty, insynuacye, zniewagi rodaków. Ale udała się sztuka, bo wszyscy byli oniemiałymi dyplomatami (Niemojewski).

W stosunkach międzynarodowych agitacya za granicą zazwyczaj będzie akcyą nielegalną i tylko z t. zw. względów politycznych tolerowana (jak rosyjska w Galicyi). Ale droga dyplomatyczna pozostawia tę korzyść, że pozwala mięszać się do spraw wewnętrznych obcego państwa, w sposób dyskretny i wytworny. W swoim czasie interweniowała Austrya u rządu pruskiego w sprawie rugów poznańskich i przeciwko zamiarowi wydania ustawy o wywłaszczeniu. W państwie praworządnem, gdzie czynniki rządzące mają samodzielny zakres działania, prowadzą się też rokowania dyplomatyczne w sprawach wewnętrznych między władzami, rządem a parlamentem, stronnictwami i t. d.

I naród bezdomny ma swych dyplomatów, zawiadowców bez zlecenia lub zaufaniem opinii publicznej obdarzonych i wyraźnie przez nią wskazanych. Ich posłannictwem i obowiązkiem jest jednanie przyjaciół tam, gdzie ich potrzeba.

A. Balasits.

Przedwczesne spory.

Na długo przed wojną, gdy przyszłość Polski przedstawiała się naszym oczom w bardzo mglistych kształtach, nie zajmowaliśmy się wiele jej przyszłym prawno-państwowym ustrojem. Ale już wtedy byli tacy, którzy nietylko mówili, że chcą niepodległej Polski, lecz dodawali zastrzeżenie: ma to być Polska demokratyczna, ludowa, czy republihańska. Inni jednak utrzymywali, że obojętnym jest ustrój państwa polskiego, byle ono istniało; a przytem ich zdaniem niepodobna dążenia do niepodległości, które powinno objąć cały naród, osłabiać przez partyjne lub społeczne zacieśnienia. Dzisiaj sytuacya jest inna, gdyż w niezbyt długim może czasie rozstrzygną się nasze losy i państwo polskie przybierze konkretną postać. To też mnożą się dyskusye na temat tego, jakiem ma być to państwo. Są tacy, wśród których znalazł wdzięczne echo posiew idei republikańskich, inni znów podnoszą hasło silnego, bezwzględnego rządu. I odbywa się bardzo ciekawa przemiana pojęć. Wśród ludzi o umiarkowanych zapatrywaniach idee bardziej radykalne nie napotykają często na zasadniczy spór, a natomiast długoletni bojownicy skrajnego postępu zamieniają się w obrońców silnej, niemal absolutnej władzy królewskiej; zamiast przyznać bezwzględną władzę reprezentacyi parlamentarnej, wybranej przez naród, chcą skupić ją w rękach nielicznej grupy, znajdującej się u steru rządów.

Tak więc nasze wewnętrzne spory nabierają społecznego zabarwienia. Dotychczas grupowały się poglądy wokół pewnych haseł polityki międzynarodowej; obecnie dochodzi do znaczenia także kwestya ustroju państwowego, kwestya rządu, wzajemnego stosunku różnych warstw społecznych i ich udziału we władzy. I jakkolwiek słychać wiele sporów na ten temat już w obecnej

chwili, to można się zapytać, czy one są potrzebne, czy czas już nadszedł, by przesądzać rozstrzygnięcie tych zagadnień. Następnie łatwo zauważyć, że te zasadnicze pytania stawiane są nierez w sposób niewłaściwy: albo zbyt akademicki, albo co gorzej, bez znajomości przedmiotu.

Najpierw zagadnienie, jaki ustrój będzie dla nas najlepszy, nie da się rozstrzygnąć w sposób abstrakcyjny. Sama forma rządu wogóle ma mniejsze znaczenie; ważniejszą jest treść, którą naród wypełnia tę formę rządu. Daremniebyśmy szukali za historyczno-naukowymi dowodami, że jakaś forma rządu ma nad innymi niezbitą wyższość. Przeciwnie, widzimy, że w praktyce te same formy państwa funkcyonują bardzo rozmaicie w różnych warunkach społecznych i kulturalnych. Ustrój republikański w jednym kraju może dać pełne zabezpieczenie swobody i rozwoju, w drugim może być formą, pod którą kryje się najgorszy despotyzm. Podobnie monarchia konstytucyjna wykazuje przy zewnętrznem podobieństwie organizacyi wyniki bardzo rozmaite. To też niepodobna tak stawiać pytania: który jest ustrój najlepszy, gdyż na to pytanie nie znajdziemy stanowczej odpowiedzi. Trzeba się raczej zapytać: jaki ustrój będzie najlepszym dla Polski w danym momencie dziejowym. A przy odpowiedzi na to pytanie trzeba pamiętać o tradycyach narodu, jego zasobach materyalnych, granicach i rozmiarach przyszłego państwa, o stosunkach panujących u sąsiadów i o wielu jeszcze innych rzeczach. A wtedy damy na to zagadnienie mniej skwapliwą odpowiedź, aniżeli ją dają ci, dla których całe zagadnienie przedstawia się bardzo prosto i jasno; i wtedy może powiemy, że nie czas jeszcze w tej chwili na ostateczną odpowiedź, gdyż brak nam wielu przesłanek, niezbędnych do sformułowania własnego zdania.

Są jednak tacy, którzy mniej objawiają ostrożności w omawianiu tego zagadnienia. Dla nich punktem wyjścia jest postulat, że Polsce potrzeba silnego rządu; i dlatego przeciwni są nietylko republice, lecz nawet monarchii parlamentarnej, to jest monarchii, w której rząd jest wyrazem każdorazowej większości przedstawicielstwa narodowego.

Istotnie Polsce potrzeba silnego rządu. Trudno tutaj rozstrzygać, o ile słusznym jest pogląd, że Polska upadła głównie z jego braku. Faktem jest jednak, że nieraz nam go brakowało w przeszłości i że musimy go mieć w przyszłości. Ale czy z tego

powodu możemy z góry potępić pewne formy państwowe jako niezdolne do wytworzenia silnego rządu, czy całą władzę należy zacieśnić w nielicznych rękach, by ją uczynić skuteczną?

Taki pogląd jest fałszywy. Silny rząd mają społeczeństwa, w których jest silnem poczucie prawa, w których obywatele rozumieją konieczność ścisłego wykonywania zleceń prawowitej władzy. Parlament nie stanowi tu przeszkody, przeciwnie, stanowić może najlepsze źródło legalizmu. Unia amerykańska rozporządza bardzo silnym rządem, skupionym w osobie prezydenta, jakkolwiek zasada zwierzchnictwa ludowego posunięta jest w niej do skrajności. Każdorazowy rząd angielski jest rządem naprawdę silnym, zdolnym do energicznego działania, jakkolwiek jest wykonawcą woli wielogłowej większości parlamentarnej, a tymczasem władza absolutna lub napół absolutna okazuje się nieraz słabą władzą, jest nieraz najlepszym hodowcą anarchii i bezprawia.

Zwłaszcza w obecnej chwili, w której powołanie wielkich mas ludowych do najcięższych obowiązków budzi wśród nich nieprzeparte pragnienie udziału w rządzie, jest rzeczą wprost niebezpieczną wysuwanie zasady, że rządzić można na stałe bez oparcia wśród większości narodu. Sieje się w ten sposób zarodki rewolucyjne, które przy pierwszej lepszej sposobności mogą rozwinąć się do groźnych rozmiarów. Zwłaszcza młody organizm państwowy, który dopiero powstaje, nie może być zbudowany na zasadzie nieufności do szerszych warstw narodu. Chodzić chyba musi o to, by pozyskać je raczej dla idei państwowej, a pozyskać je można tylko przez czynny współudział i stanowczy wpływ na rozwój życia państwowego.

Wogóle dziwnem jest, skąd się bierze ta agitacya, wysuwająca hasło rządów bezparlamentarnych, agitacya, którą rozwijają głównie byli socyaliści i sfery radykalnej warszawskiej inteligencyi, zabarwione mocno pierwiastkiem semickim. Trudno orzec, co można tutaj policzyć na karb doktrynerstwa, nieliczącego się z czasem i przestrzenią, a co na karb bardzo konkretnych spekulacyi politycznych, w myśl których pewne sfery wtedy tylko utrzymać się mogą przy władzy, gdy czynnik przedstawicielski nie będzie miał na nią stanowczego wpływu.

Dochodzimy ostatecznie do wniosku, że silny rząd może istnieć w każdej formie państwowej, a nie stanowi monopolu rzą-

dów bezparlamentarnych. To też musimy i nadal uważać za otwartą kwestyę przyszłego ustroju Polski.

Taką ostrożność nakazują nam i inne względy. Gdybyśmy żyli na odludnej wyspie, niedostępnej dla innych narodów i mogli w spokojnych warunkach swobodnie dyskutować nad przyszłą formą rządów, to wtedy istotnie moglibyśmy uwzględniać tylko nasze stosunki i potrzeby wewnętrzne. Ale liczmy się z tem, że państwo polskie będzie powstawało wśród zawieruchy wojny światowej. Jego powstanie będzie zależało od przyjaznych nam lub wrogich sił obcych. Dążyć oczywiście będziemy wszyscy do tego, by ziemia polska uzyskała bezwarunkową niepodległość.

Ale interes obcy może tu stanąć na drodze, będzie się starał nasz swobodny rozwój dostosować do swoich potrzeb. Musimy strzedz się zarówno wrogów, jak i zbyt gorliwych przyjaciół, którzy chcieliby zbyt szeroko nad nami rozciągnąć swoje opiekuńcze skrzydła. Między innemi także i kwestya przyszłego ustroju Polski może być terenem, na którym przejawią się próby podpodrządkowania Polski pod obce wpływy. Niekoniecznie takie podporządkowanie musi nastąpić w ten sposób, że się wprowadzi zależność prawno-państwową. Można tu posługiwać się innymi sposobami, do których należy np. organizacya podstaw konstytucyjnych i skład rządu, odpowiadający najlepiej obcym interesom.

To też należy odnosić się krytycznie do propagandy, która chce zacieśnić udział narodu we władzy ustawodawczej i wykonawczej. Rząd może być sprowadzonym z zewnątrz, czasami może narzuconym. Przyznawać mu zbyt wielką kompetencyę, legalizować z góry możliwość rządzenia wbrew woli narodu, to znaczy ograniczać faktycznie jego niepodległość. Ustrój oparty na systemie parlamentarnym może wykazywać braki i błędy; w każdym razie władza, którą on wyłoni, będzie władzą rodzimą, władzą wyrosłą z łona społeczeństwa i snadniej ona odczuje i zrozumie potrzeby narodu, aniżeli najlepszemi chęciami ożywiony czynnik obcy. A więc lepiej dać spokój propagandzie, która otwiera drogę dla obcych wpływów, osłabia przyszłe nasze samodzielne stanowisko i wnosi zawiązki rozterek. Jakkolwiek dzisiaj nie możemy rozstrzygnąć stanowczo, jaki ma być nasz przyszły system rządów, to w każdym razie musimy z wielkiem uprzedzeniem pa-

trzeć na obronę ustroju, który z punktu widzenia narodowego kryje tak wielkie niebezpieczeństwa.

W obecnej wojnie, która z początku toczyła się w myśl egoizmu państw, wysuwają się coraz częściej różne hasła ogólne, różne formuły, które w sposób zasadniczy chcą rozstrzygnąć sporne kwestye wojenne. Takiem hasłem, zyskującem sobie coraz większe uznanie, jest zasada, że każdy naród ma prawo sam swój byt określić. Zasada ta dokonuje tryumfalnego pochodu; dociera tam, gdzie niedawno jeszcze był dla niej dostęp zamknięty. Wolno nam na nią się powołać, gdy jest mowa o przyszłym ustroju Polski.

Jeżeli więc mamy prawo sami swój byt określić, to nikt obcy nie może nam narzucać formy życia państwowego.

Dlatego też musimy odnosić się negatywnie do wszystkich prób mało odpowiedzialnych czynników politycznych, które liczą na obcą protekcyę i dzięki niej chcą chwycić u nas władzę w swoje ręce. Liczymy się ze zdaniem sąsiadów i chcemy w przyszłości żyć z nimi w zgodzie na zasadzie równości, ale muszą oni zgodzić się na to, że sami pokierujemy swoim losem. Państwo polskie, które powstanie, musi być państwem polskiem nietylko z nazwy i nietylko dlatego, że na polskiej wyrosło ziemi i z Polaków się składa, lecz musi musi być swobodnym tworem ducha polskiego; musi być zbudowanem na podstawie naszych tradycyi, potrzeb, dążeń, stosunków społecznych. Forma bytu państwowego musi rozwijać się od wewnątrz, a nie z zewnątrz; nie czekajmy na to, że ktoś nam przyniesie ją w gotowej postaci, jako wytwór marki najlepszej, że ciemności naszego bytu rozświetli jakieś światło: czy to *ex oriente,* czy też *ex occidente!*

Może niezbyt daleką jest chwila, gdy przystąpimy do tych doniosłych decyzyi. Ale jeszcze nie nadeszła ta chwila. Dzisiaj nasz naród nie może określić swojego bytu, gdyż jest bardziej podzielonym niż nim był kiedykolwiek i straszliwie przygniecionym ciężką stopą wojny. Trzeba jeszcze czekać, aż zyskamy swobodę ruchów, a tymczasem tamować samozwańcze plany, poddać surowemu sądowi dyletanckie pomysły, które nie przynoszą żadnego pożytku a wyrządzają widoczne szkody. Czasem taka projektomania, która w sposób stanowczy przesądza o przyszłej for-

mie rządu, jest niewinnem ćwiczeniem umysłowem ludzi, którzy bawią się w mężów stanu; ale niekiedy ta propaganda może być prowadzoną w obcym interesie,

W każdym razie, jakąkolwiek zyskamy formę rządu, to będziemy się starali, by ją w pełni wyzyskać dla narodowych celów, by nowo powstała Polska stała się państwem naprawdę praworządnem, by umiała wolność skojarzyć z karnością. Z chwilą, gdy w tych sprawach zapadnie prawowita decyzya, niewątpliwie ustąpią ze swego zdania ci, którzy danemu rozstrzygnięciu byli przeciwni. Nie zechcą w interesie narodowym osłabiać podstaw bytu przyszłego państwa rzucaniem mu pod nogi konfliktu konstytucyjnego. Bo zresztą wiadomo nam dobrze, że spory o ustrój państwowy są niejednokrotnie jałowymi sporami doktrynerów. Walka o te sprawy bardzo często nie przynosi pozytywnego rezultatu. Mądrość państwowa każe raczej naginać istniejący ustrój prawny do potrzeb narodu, aniżeli rozbijać każdą instytucyę, jeżeli ona nie harmonizuje z abstrakcyjnymi ideałami. Tembardziej w obecnej chwili nie powinniśmy tego rodzaju zagadnień wysuwać na czoło naszej myśli politycznej i odwracać uwagi od rzeczy, o wiele ważniejszych. Dziś chodzi o to, by Polska była naprawdę niepodległą,
by zyskała geograficzne, gospodarcze i polityczne warunki pełnego rozwoju; byśmy mieli to, co mają naprawdę silne i niepodległe narody; liczną ludność, węgiel, spławne rzeki, morze i dogodne granice. O formie ustroju państwowego jeszcze czas myśleć i czas się spierać. Chodzi w tej chwili nie o to, jaką ma być forma rządu Polski, lecz by ta Polska miała naprawdę warunki samodzielnego rozwoju. W razie ich braku nie pomoże nam ustrój najlepszy i rząd najsilniejszy. Wtedy wkrótce ten ustrój złym się okaże, a rząd bardzo słabym.

Allos.

Sylwetka Antoniego Osuchowskiego u Weyssenhoffa [1]).

Kto dziś chce pisać o Antonim Osuchowskim z okazyi przyznania mu przez Akademię Umiejętności nagrody z fundacyi Jerzmanowskich, ma pracę ogromnie ułatwioną. Osuchowski jest bowiem jednym z rzadkich ludzi, którzy już za życia weszli do literatury i mają tam swój pomnik. Pomnik to nie wielki, ukryty jak w klombie w jednym z drobniejszych utworów Weyssenhoffa, w którym moralna sylwetka skarbnika Polski została utrwalona w jednej z drugorzędnych zresztą postaci akcyi. Ale te kilka stron, które autor poświęcił opisaniu w „Wyrokach“ sposobu, w jaki Profesor Wyrwicz wypełnia swe funkcye skarbnika, wyrywając wprost nieraz z pod zatwardziałego serca datki na krzyczące potrzeby społeczne, wszystkie cechy charakterystyczne tej przezacnej postaci są tak wyraziste, tak gorącą sympatyą owiane, że starczą za tomy biografii, które kiedyś niewątpliwie o Ojcu Macierzy Szkolnej w Królestwie i na Śląsku powstaną. Ktoby miał wątpliwości co do pierwowzoru Profesora Wyrwicza, straci je niewątpliwie, gdy przeczyta te jego słowa, w których rozważając projektowany zapis księcia Koreckiego na bibliotekę publiczną, mówi sobie w duchu jakby z wyrzutem: „Szkoda, że nie wprowadziłem do testamentu zapisu dla moich Szlązaków“. Czyż jest drugi człowiek w Polsce któryby miał bardziej od Antoniego Osuchowskiego prawo nazywać dzielny lud naszych kresów zachodnich „mojemi Szlązakami“?

W „Wyrokach“ Weyssenhoffa mamy nadzwyczaj trafnie ujęty przykład tego, co Żeromski w „Zamieci“ nazwał „głuchym patryotyzmem arystokracyi polskiej“. Polski magnat, książę Korecki, bez-

---

[1]) „Wyroki“ w zbiorze utworów p. t. „Znaj Pana“.

dzietny pan wielkiej fortuny, w obliczu zbliżającej się śmierci pragnie uczynić zapis ze swego majątku na rzecz biblioteki publicznej, któraby miała nosić jego nazwisko. Myśl tę miał już dawno nawet przed laty wraz ze swym serdecznym przyjacielem, rzeźbiarzem Janem Bujnickim, pracowali nad planami gmachu bibliotecznego; ale u księcia były to tylko przemijające chęci zrobienia czegoś dla kraju; silnej woli oddania się na służbę narodową nie było, bo ją paraliżowała chęć użycia i wstręt do wszelkiego poważniejszego i wytrwalszego wysiłku ducha. To też wystarczyło jednego nieporozumienia, w którem w grę wchodziła żona Bujnickiego i w którem cała wina była po stronie lekkomyślnego i samolubnego księcia, aby stara przyjaźń się rozprysła, a projekt biblioteki poszedł w zapomnienie.

Teraz wobec śmierci, która się zbliża, książę na gwałt chce swój projekt w czyn wprowadzić, ale oprócz braku sił zamierających powoli, napotyka na inną trudność: oto najbliższa rodzina w osobie hrabiny Odrowążowej nie dopuszczała do łoża chorego nikogo z obawy, by myśl biblioteki nie przyszła spłatać figla nadziejom na spadek. To też konspiracyjnym niemal sposobem przez nienależącego do „ochrany“ ogrodnika książę każe wezwać do siebie człowieka, o którym wie, że nikt lepiej od niego nie wejdzie w jego zamiary, męża zaufania całej Polski, Profesora Wyrwicza:

„Profesor niezwykle czujny na okazye przedśmiertnych zarządzeń, które bezwstydnie wyzyskiwał na korzyść najważniejszych krajowych instytucyi, pospieszył na wezwanie natychmiast i zrozumiał, dlaczego do pałacu wejść trzeba jaknajmniej urzędowo. Przez furtkę od ogrodu, przez łazienkę wślizgnął się do chorego, jak wyszkolony spiskowiec.

Zaraz po przywitaniu Korecki przystąpił do przedmiotu:

— Szanowny profesorze... chcę zmienić testament.

— Zawsze można — na lepszy, mości książę. Ja co roku rewiduję moją ostatnią wolę. Książę może zechciał pomyśleć o bibliotece publicznej, której jeżeli nie skończymy sami, powinniśmy zapewnić prawnie egzystencyę tej arcyważnej instytucyi. Już biblioteka nosi nazwisko księcia — znam takich, którzy wybierają się z darowizną swych prywatnych księgozbiorów...

Pomimo osłabienia i śmiertelnego humoru Korecki uśmiechnął się. Myślał właśnie o tem, dlatego sprowadził profesora — a ten już zgadł, już pisał, już pomnażał księgozbiór.

— Było to marzeniem życia mego — rzekł książę — niestety, wątpię już, abym sam... Trzebaby komuś specyalnie to powierzyć... czy pan profesor zna Bujnickiego?

— Bujnickiego Jana? naturalnie. Świetna myśl! Jako kierownik fachowy — wyborny. — A zarząd kapitałów powierzylibyśmy jakiemu komitetowi pod kontrolą księcia i... może rodziny?

— Bez udziału rodziny! — pod zarządem pana profesora i ludzi, których pan sobie dobierze.

Wyrwicz skłonił głowę.

— Zaszczyca mnie ten wybór, a od łaskawie na mnie włożonych obowiązków nie myślę się uchylać: sprawa jest pierwszej doniosłości.

Po chwili obustronnego namysłu odezwał się Korecki:

— Ale trzeba przekonać Bujnickiego...

— Nie wątpię, że się zgodzi. Przecież mi się zdaje, że on robił plany gmachu?

— Tak... niegdyś.

Profesor zajęty bez wytchnienia robotami publicznemi, stał z zawodu swego ponad dziedziną drobnych plotek. Jednak i on przypomniał sobie, że mu coś niegdyś mówiono o zatargu między Koreckim a Bujnickim. Nie pytał teraz, ważył przydługo, co ma powiedzieć, wreszcie rzekł:

— Najprzód, z pozwoleniem księcia wykonajmy rzecz główną: zapis i zarząd nad nim. Następnie ja pojadę do Płocka i będę się starał przekonać Bujnickiego.

Korecki wyciągnął rękę do Wyrwicza, dziękując; po chwili zaś dodał przez zęby:

— Może Bujnicki jest w potrzebie? gotówbym mu coś pożyczyć...

— Nie przyjmie — odpowiedział stanowczo Wyrwic.

— A w testamencie?... może zapis warunkowy, zależny od postawienia biblioteki?

— Hm... przedewszystkiem zróbmy zapis taki, aby nie zależał od niczyjej woli, oprócz księcia.

Profesor był dla sprawy publicznej równie drapieżny, jak bezwzględny.

— Jeszcze jedno, kochany profesorze: trzeba śpieszyć i o zmianach testamentu co do... dwu i pół milionów na bibliotekę... mamy wiedzieć tylko my dwaj... może paru świadków?...

— To już rzeczy techniczne. Jutro projekt aktu będzie gotów.

Nazajutrz, ku zdumieniu i pomimo oburzenia najbliższej rodziny, Wyrwicz w towarzystwie rejenta, świadków i znanego lekarza, który miał orzec, czy księcia zbiorowe odwiedziny nie zmęczą — zjawił się w pałacu, od frontu.

Książę był wyraźnie zdrowszy i kazał prosić...

Prawdziwa żałoba padła na Odrowążów od chwili tych odwiedzin tak mało spodziewanych, tak niepokojących... Pani Odrowążyna zwolniona z nocnego czuwania, nie sypiała w dalszym ciągu, trapiona gryzącym niepokojem...

A profesor Wyrwicz, który nie zwykł popieranych przez się projektów odkładać na jutro, pędził już do Płocka, przez płową od zbóż dolinę Wisły. Niemłody był — dusza i kości — ale hartowny i wrażliwy, jak sprężyna, poruszająca zegarowy mechanizm. Pędził przez kraj dyszący świętem żniwa, lecz nie po malarsku notował sobie w pamięci widoki.

Tutaj kraj ludny, względnie bogaty... Szkółek mało! — — Wypadnie stworzyć jeszcze dwa ogniska oświatowe. — — Pagórek dobry pod budynek szkolny; bukiet drzew, blizko woda — krajobraz uszlachetniający. Kąpiel, ćwiczenia gimnastyczne — — —

Od tej stacyi zjeżdża się do Starych Werpechów Werpechowskiego. Trzeba zajechać do niego, wracając z Płocka i ofiarować mu miejsce w komitecie razem z księciem X. i hrabią Z. Za to poczciwina zapłaci mi na instytucyę tyle, co książę i hrabia razem. Niech znają wspaniałomyślność Werpechowskiego!

Co to dzisiaj? — środa — sesya banku spółdzielczego, jutro — domu ludowego. — Nie zdążę już na żadną, ale zdaje mi się, że wszystko przygotowałem dostatecznie. — — Szkoda, że do testamentu Koreckiego nie wprowadziłem zapisu dla moich Szlązaków — — no, trzeba było i Odrowążom coś ze spadku zostawić. — — —

Siedząc w wagonie drugiej klasy, Wyrwicz, nikły i skromnie ubrany, liczył ciągle, ważył, szuflował miliony publiczne, któremi zarządzał, rozdzielając je na różne krajowe potrzeby. Niesyt jednak nigdy i w ciągłym niedoborze do szerokich pragnień, wietrzył i w podróży, czy nie zdarzy się okazya ściągnięcia podatku z jakiego obywatela bez względu na jego przekonania polityczne i społeczne — byle dawał. Tysiące notat w głowie i po kieszeniach profesora znaczyły stan majątkowy i wydajność na rzeczpo-

spolitą tysięcy ludzi znajomych, zwłaszcza dostatnich. Wyrwicz pamiętał ogromne szeregi twarzy, charakterystyk i liczb. Gdy mu się zdarzyło zapomnieć nazwisko spotkanej z nienacka osoby, nie pomylił się nigdy co do charakteru głównego.

— Jak się ten pan nazywa, u Boga Ojca? — Ale on daje.

Byli jednak i tacy, nawet bogacze, którzy nie dali dotychczas nic. Wyrwicz, serdeczny i ugrzeczniony wogóle, ukochał przedewszystkiem tych upornych; dosięgał ich, najmniej co tydzień, listem lub osobiście; ponieważ zaś pozbyć się człowieka, otoczonego czcią i zaufaniem ogółu, nie było łatwo, oporni musieli używać całej swej pomysłowości, aby się wykręcić od datku. Coraz to który ulegał i uchylał z westchnieniem żelaznego pancerza kasy; niejeden już i przyzwyczaił się do konieczności podatku na cele publiczne, dla świętego spokoju. Profesor z drapieżną lubością sięgał do kas nawróconych grzeszników, starając się nawet powetować sobie dawne ich odmowy. Te operacye liczył do najmilszych swych działań, niby socyalista uruchamiający niepłodne zastoje złota. Nie był zaś ani socyalistą, ani arystokratą, ani demokratą; udało mu się nawet pozostać filosemitą, gdyż i żydów wyzyskiwał bardzo uprzejmie.

Przejrzał i dzisiaj cały pociąg, w którym jechał — nie było nikogo pożytecznego. Na przystankach wyglądał przez okna wagonu i wszędzie prawie spotykał znajomych, wyciągających do niego ramiona. Oddawał sumiennie ukłony, zawiązywał krótkie, celowe konwersacye, pytał o urodzaje, o zdrowie, o interesy ludzi okolicznych, o stan ich wydajności. Zdawał się przemyślać o nałożeniu regularnego podatku od morgi i dochodu. Uśmiechali się jednak ludzie do niegu, nie jak do natręta, serdecznie i z uznaniem.

Dojeżdżając końmi już do Płocka, zapatrzył się na starą katedrę, panującą nad miastem i zaczął szkicować w myśli projekta wspaniałego jej odnowienia. Możnaby wziąć z kapitału ochrony zabytków przeszłości, można i nową specyalną otworzyć składeczkę"...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Każdy komu znana jest działalność Antoniego Osuchowskiego, przyzna, że ten obrazek o tak wysokiej wartości artystycznej oddaje nam go jak żywego; nic w nim niema do dodania i nic do ujęcia. Chybaby ktoś chciał dodać w cyfrach obliczenie tych milionów, które przez jego ręce przeszły i przechodzą na potrzeby narodowe. Ale tem zajmą się inni; nam chodziło o wskazanie tej

sprężyny wewnętrznej jego działalności, którą Skarga nazywał „cnotą chęci ku dobru pospolitemu“ i zdało nam się właściwem przypomnieć, że o naszkicowanie sylwetki moralnej skarbnika Polski pokusiło się już pióro jednego z największych naszych artystów, gdy chodzi o charakterystykę współczesnych typów polskich, pióro Józefa Weyssenhoffa.

I dziś też, podobnie jak w tym pociągu, który go wiózł do Płocka, „uśmiechają się do Antoniego Osuchowskiego ludzie, nie jak do natręta, serdecznie z uznaniem“ i to nietylko ci, którzy mieli sposobność do niego się zbliżyć, nietylko ci, którzy z bliska czy z daleka pomagał w szerzeniu pracy oświatowej, albo jak od czasu wojny ratunkowej, nietylko ci, których umiał przymusić do obowiązku dawania, ale wszyscy, którym sprawa polska jest droga. Jak długa i szeroka Polska radują się wszyscy tem odznaczeniem, jakie go ze strony Akademii Umiejętności spotkało, życząc mu, aby wkrótce mógł powrócić do wolnej Polski i cieszyć się długie lata jej szczęściem, on, który więcej od innych pracował nad jej odrodzeniem i odbudową.

O. Woroniecki O. P.

Sprawa naszej emigracyi po wojnie.

Nigdy tak żywo nie odczuwa się braku własnego państwa, jak wtedy, gdy się jest między obcymi. I nikt tak boleśnie nie doznawał skutków tego braku, jak bezdomna rzesza emigrantów, która rokrocznie szukała chleba za granicą, pozbawiona opieki swych władz narodowych. Setki tysięcy ludności z roku na rok narażone były na wyzysk, na brutalność junkierską, na wynarodowienie, a choćby tylko na szkody, wynikające z nieznajomości obcego gruntu i braku należnej opieki. Coprawda zaniedbania spraw emigracyjnych przez nasze społeczeństwo niepodobna tłómaczyć wyłącznie tylko tem, żeśmy nie mieli własnego państwa. Niejedno mogły zrobić nasze czynniki publiczne (Wydział krajowy!) i organizacye społeczne. Ale dziś nie czas na rekryminacye, natomiast czas myśleć o tem, by w nowych warunkach nie powtórzyły się dawne zaniedbania, by problem emigracyjny ująć odrazu w sposób właściwy i umiejętnie nim pokierować.

Przedewszystkiem trzeba zdać sobie sprawę z zasadniczego znaczenia emigracyi dla narodowego rozwoju. Narodowy punkt widzenia musi decydować w ocenie skutków emigracyi i musi kierować całą polityką emigracyjną. A pod tym względem niestety u nas brak było ustalonego poglądu. Najlepszym dowodem wielkiej rozbieżności zdań w tej dziedzinie jest dyskusya na zjeździe prawników i ekonomistów, odbytym w Krakowie w r. 1906. Dyskusya ta obracała się około ogólnego problemu: czy wychodźtwo osadnicze prowadzi do wynarodowienia i nie doszła nawet w tej dziedzinie do pozytywnych wyników. Broniono tam najbardziej przeciwnych sobie poglądów na narodowe skutki emigracyi. Z jednej strony znany działacz narodowy na gruncie brazylijskim, p. Warchałowski, wypowiedział poglądy bardzo optymistyczne:

„...emigracya nietylko nie jest niebezpieczeństwem dla nas, ale jest wręcz objawem korzystnym, uwalnia nas od przeludnienia, rozwiązuje różne kwestye ekonomiczne i społeczne w kraju, może tworzyć nowe rynki zbytu dla naszego przemysłu i handlu, a następnie r o z s z e r z a p o p r o s t u g r a n i c e p o s i a d a n i a p o l s k i e g o... Gdybyśmy w Polsce nie mieli emigracyi, tobyśmy ją w Polsce stworzyć powinni“. Z drugiej strony inni, jak np. p. Koszutski, wyrażali się sceptyczniej: „Ktoś mówił, że w Stanach Zjednoczonych mamy dwa miliony Polaków, których można uważać za straconych. Może to trochę przesadzone, bo ci Polacy pozostaną Polakami. Ale w każdym razie dla narodu polskiego w Europie są to siły bezwarunkowo stracone. A czy w lepszych warunkach znajdują się Polacy w Ameryce Południowej? Mnie się zdaje, że to robota stracona dlatego, że zanim odzyskamy niepodległość, to do tego czasu może nastąpić wynarodowienie i te wysiłki, które obecnie kierujemy ku stworzeniu emigracyi tam, mogą pójść na marne“. Byli i tacy, którzy zagadnienie stawiali i stawiają mniej skrajnie, odróżniając różne rodzaje emigracyi. W każdym razie wśród opinii społecznej częste są wielkie nadzieje wzrostu siły narodowej, wywołany przez emigracyę, w szczególności wychodźtwo osadnicze nie budzi zasadniczych obaw; co więcej są tacy, którzy w tem wychodztwie osadniczem chcą widzieć powstawanie nowych dzielnic Polski, rozszerzenie stanu posiadania bogactwa narodowego. W ostatnich czasach w pięknej formie przebijają się te poglądy w słowach Artura Górskiego, który mówiąc o sile ekspansyjnej ludu polskiego, powołuje się na to, że ten lud „już pozakładał swoje zamorskie kolonie i... zagospodarowaniem i liczebnością swoją lepiej niż flotą pancerną zabezpieczył“ (Drzewo nadziei, Myśl Polska R. II. Z. II, s. 98).

Są to wszystko niestety słabe usprawiedliwione nadzieje. Polacy amerykańscy nie tracą w swojej większości poczucia narodowego, gdyż zasila ich coroczna fala świeżych sił z ojczyzny. Gdy ten dopływ się przerwie — a musi się przerwać wcześniej czy później — gdy przez dłuższy czas polskie wyspy będą się znajdowały wśród morza obcej narodowości, zostaną niewątpliwie przez nie pochłonięte. Nowy świat jest terenem, na którym powstają nowe narody, pokrewne rasą i kulturą swym pobratymcom europejskim ale w każdym razie odrębne i wyposażone silnem poczuciem swojej odrębności. Gdy jakiś żywioł osiadł na stałe na

obcej ziemi i zerwał żywy związek z krajem macierzystym, to wcześniej czy później poczuje się synem tej ziemi i przybraną ojczyznę będzie stawiał na pierwszem miejscu. W wyjątkowych tylko wypadkach może jakiś naród utrzymać na trwałe swą jedność, mimo że jest rozrzucony po całej kuli ziemskiej. Dzieje się to wtedy, gdy zamorskie posiadłości należą do jednej z krajem macierzystym całości państwowej, gdy prowadzi się w nich planową kolonizacyę i osiedla je jednolitym żywiołem, gdy utrzymuje się z niemi bez przerwy jak najściślejsze kulturalne i gospodarcze węzły. Udaje się to W. Brytanii w stosunku do jej anglosaksońskich kolonii, ale nasze położenie w stosunku do zamorskiej „ekspansyi“ jest inne.

Emigracya jest ruchem żywiołowym, koniecznym, powstrzymać ją można tylko przez usunięcie przyczyn, które ją wywołują. Przynosi ona przytem pewne gospodarcze korzyści dla kraju, poprawia jego bilans płatniczy. Niemniej jednak trzeba zdać sobie z tego sprawę, że emigracya osadnicza, dokonywana wśród obcych społeczeństw, prowadzi wcześniej czy później do wynarodowienia, względnie do wytworzenia osobnych całości kulturalno-społecznych, które z krajem ojczystym pozostają w luźnym związku. Ten moment musi określać naszą politykę emigracyjną.

Coprawda w ciągu wojny opinia społeczeństwa zwraca się coraz silniej w kierunku tego przekonania. Mniej słychać o nowej Polsce, o czwartej dzielnicy, o naszych koloniach, natomiast popularnem się staje hasło p o w r o t u wychodźców do wolnej Polski. Liczy się na to, że przybędzie ich bardzo wielu, że przywiozą z sobą wielkie zasoby kapitałów, i że przy ich walnej pomocy dokona się dzieła odbudowy państwa polskiego, temsamem więc utrwala się słuszne przekonanie, że tylko polska ziemia jest w stanie ochronić od wynarodowienia.

Ale tak jak dawniej liczyliśmy czasami za wiele na zamorską ekspansyę, tak dzisiaj może zbyt wiele sobie obiecujemy po powrocie emigrantów. Nasuwa się wątpliwość, czy ten powrót przybierze tak wielkie rozmiary, jak się to wielu wydaje — czy nie zbyt optymistycznie liczymy na kapitały „amerykańskiego wujaszka“, które mają poważnie zasilić nasz nadszarpnięty majątek narodowy. Warto nad tem zastanowić się przez chwilę, a pozatem warto rozpatrzeć się w świecie, czy może z innych stron nie możemy się spodziewać powrotu wychodźców. Wogóle cała kwe-

stya organizacyi ruchu emigracyjnego i immigracyjnego zasługuje na baczniejszą uwagę.

Słyszy się czasem, że jest w Stanach Zjednoczonych półczwarta miliona Polaków, z których wielka część wraz z kapitałami i wielkiem doświadczeniem gospodarczem wróci do ojczyzny po szczęśliwej dla nas wojnie. Przedewszystkiem nieufność budzi ta statystyka. Czasem jest mowa o 4, czasami znów o 2 milionach Polaków w Stanach Zjednoczonych. Wogóle trudnem jest przeprowadzenie obliczenia liczby Polaków w tym kraju. Nie znamy dokładnej cyfry immigracyi polskiej do Stanów Zjednoczonych, nie wiemy, wielu tych immigrantów wraca. Statystyka amerykańska, dobrze zresztą zorganizowana, nie bierze za podstawę faktu przynależności narodowej. Dopiero trzynasty „*Census*" (Spis statystyczny) z r. 1910 uwzględnił pytanie, jakim językiem macierzystym mówią ci, którzy urodzili się poza granicami Stanów. Otóż co do Polaków uzyskano następujące cyfry:

Z pośród ur.	w Niemczech	było	190.096	używ. języka polsk. macierz.
„ „	„ Rosyi	„	418.370	„ „ „ „
„ „	„ Austryi	„	319.418	„ „ „ „
„ „	na Węgrzech	„	2.637	„ „ „ „
	Ogółem		940.521	używ. języka polsk. macierz.

Mimochodem można zwrócić uwagę na to, że było w Ameryce półtrzecia tysiąca ludności z Węgier, mówiącej polskim językiem. Są to wychodźcy ze Spiżu i Orawy. Statystyka węgierska nie wyszczególnia języka polskiego i narodowości polskiej i ci wychodźcy dopiero za morzem doczekali się zaliczenia do osobnej grupy językowej. Biorąc całą tę cyfrę niemal miliona ludzi, mówiących po polsku według statystyki z r. 1910, możemy przypuścić, że jest ona za skromna, gdyż niewątpliwie przy tego rodzaju spisach ludności wielu ludzi, mówiących właściwie polskim językiem, podało z tych lub innych przyczyn język obcy, albo też ich błędnie zapisano. Następnie cyfra ta dotyczy ludności polskiej, urodzonej w „starym kraju"; nie obejmuje Polaków, urodzonych już w Stanach Zjednoczonych.

Ale ci ostatni nie wchodzą w rachubę w sprawie emigracyi powrotnej. Ludzie, którzy już urodzili się na amerykańskim gruncie i tam wyrośli, przyjadą na stałe do Polski chyba tylko w wyjątkowych wypadkach. X. Kruszka, historyk życia Polaków w Ame-

ryce, w ten sposób wyraża się o tym żywiole: „Od naszej młodzieży, wyrosłej już tu na amerykańskim gruncie, trudno żądać tęsknoty do ziemi polskiej... Nic dziwnego, że nasza młodzież lgnie ciałem i sercem do tej tu ziemi, która jej w oczy się uśmiecha, a zapomina o ziemi praojców, której „z widzenia“ nie zna... to też słysząc tyle pięknych rzeczy o ziemiach polskich, Polak amerykański radby je chciał widzieć i oglądać, lecz nie tyle z tęsknoty, ile z ciekawości“... Radby Polsce i czynem pomóc..., ale czyby z Mickiewiczem chciał powrócić „na łono ojczyzny“, to inne pytanie“ (X. Kruszka, „Historya Polaków w Stanach Zjednoczonych“ T. I. S. 33 i n.).

Trudno przypuścić, by nastrój wśród tych mas, już urodzonych w Stanach Zjednoczonych, mógł się do tego stopnia zmienić pod wpływem powstania państwa polskiego, by przejawił się w postaci masowej gorączki powrotnej. A także wśród ludności polskiej, która znajduje się dopiero w pierwszem pokoleniu w Stanach Zjednoczonych, wśród owego miliona, mówiących po polsku, kto wie, czy znajdzie się naprawdę bardzo wielka liczba, która zdecyduje się na powrót i swój zamiar wykona. Trzeba się liczyć z tem, że obecnie polska emigracya ma charakter społeczno-gospodarczy a nie polityczno-narodowy. Wywołana została trudnymi warunkami bytu w starym kraju. Wychodźcy do Stanów na ogół swój cel osiągnęli, uzyskali poprawę bytu, wielu z nich znalazło się nawet w bardzo pomyślnych warunkach materyalnych. Czują wdzięczność do nowej ojczyzny, nabierają dość rychło właściwej Yankesom dumy z ich kraju, ulegają urokowi amerykańskiego bogactwa, przestrzeni, techniki i siły. X. Kruszka pisze dalej w ten sposób: „Nie wymagajmy od młodego Polaka w Ameryce zbyt wiele. Nie wymagajmy zwłaszcza, żeby on będąc dzieckiem ziemi amerykańskiej, na niej wyrosły i z nią zrosły, wyrzekł się miłości do tej ziemi na rzecz ziemi polskiej. Owszem, niceh kocha tę amerykańską ziemię matkę, która go zrodziła lub w biedzie do siebie przygarnęła, niech czci i wielbi tę, która go żywi i karmi, niech śpiewa pionski tej, której chleb je — bo to słuszna i sprawiedliwa; niech zaaklimatyzuje się do niej, niech w stroju, zachowach i obyczajach stosuje się do nowych okoliczności — jednem słowem, niech stworzy nowy wyrazisty typ Polaka amerykańskiego! Będąc ziomkiem Amerykanina, niech będzie prawdziwym rodakiem

Polaka każdego i niech poczuwa się do pewnych obowiązków względem Polski".

Jak widzimy, obowiązek ten nie dotyczy powracania na stałe do Polski. Inne poglądy wynurzano dawniej, gdy do Stanów Zjednoczonych udawały się nieliczne garstki, zaniesione tam skutkiem powstań i innych ruchów narodowych. Naprzykład w r. 1844, na obchodzie narodowym w Paryżu, mówi tak Henryk Kałusowski, przedstawiciel Polonii amerykańskiej: „I zostańmy ciągle gośćmi na tej kochanej wolnej ziemi, ale nie zapominajmy, że mamy naszą własną, która wolnych Polaków wydała i żywiła i wolni ją znowu zamieszkają! Wprawdzie czasem się i tu, ale niewielu nasyym zamarzyło osiedlać na wzór innych przybyszów, ale mrok minął, i słońce od Polski zaświeciwszy, przebiegło Ocean i rozgrzało serca Polaków i myśl ich znowu w stronę Polski zwrócona — może jutro pojutrze za dni kilka rozpoczniemy marsz do ojczyzny, może jutrzenka szczęścia prędzej, jak się spodziewamy zajaśnieje! Polak tego czeka z upragnieniem, wygląda z utęsknieniem powrotu do ojczyzny — Polak znany z przywiązania do rodzinnej strzechy, Polak prawy nigdzie swobody największej nie przyjmie w zamian za ojczyznę"!

Widoczny jest kontrast między powyższemi słowami, które są typowe dla poglądów emigracyi polskiej w różnych okresach jej rozwoju. Prawda, że przecież i obecnie wraca znaczna liczba emigrantów, że istnieje nawet typ wychodzców, którzy już parę razy byli w Ameryce a ostatecznie znaleźli się w kraju. Otóż w tem tkwi sedno rzeczy, że rozwój wychodźtwa powrotnego zależy od warunków gospodarczych, od każdorazowej konjunktury w Stanach Zjednoczonych i w Polsce, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Cyfra emigrantów powrotnych, wykonywana przez amerykańskie urzędy emigracyjne, podlega z roku na rok bardzo znacznym wahaniom. Okresy dobrych zarobków, wielkiego zapotrzebowania rąk roboczych, wielkiego rozwoju spekulacyi przemysłowej, słowem okresy tak zw. po amerykańsku „*boomu*" zatrzymują odpływ wychodźców i ściągają nawet nowych; natomiast okresy dość częstych w Stanach Zjednoczonych przesileń gospodarczych, związane z zastojem na rynku pracy. podniecają emigracyę powrotną do kraju. Otóż nawet w normalnych czasach niepodobna przewidzieć na parę lat naprzód, jak się te stosunki ułożą w przyszłości; a cóż dopiero mówić o przewidywaniach powojennych.

Są one dość łatwe, gdyż fantazya ma wielkie pole do popisu, ale przytem bardzo zawodne. Nie wiemy bowiem, w jakiej sytuacyi gospodarczej znajdą się Stany Zjednoczone po wojnie, a w jakiej my się znajdziemy. W każdym razie to możemy przypuszczać, że ich sytuacya będzie lepsza od naszej. Tem samem łatwiej im przyjdzie zatrzymać dzięki lepszym warunkom potrzebne siły gospodarcze, aniżeli nam ściągnąć je do kraju. Coprawda momenty narodowe nie są pod tym względem bez znaczenia, bo w ogóle w rozwoju stosunków gospodarczych doniosłość ich jest wielka; ale czy zdołamy agitacyą na tle narodowem zrównoważyć a nawet przeważyć działanie przeciwnych momentów gospodarczych i niezależnie od nich wywołać masowy powrót do kraju, to rzecz niezbyt pewna.

Nie znaczy to, że należy lekceważyć kwestyę powrotu emigrantów ze Stanów Zjednoczonych. Może nie wrócą setki tysięcy wychodźców, ale może wrócą dziesiątki tysięcy ludzi, bogatych doświadczeniem, zdobytem w ciężkiej pracy amerykańskiej i zasobnych w dolary, które zdaje się będą miały dobry kurs mimo zawikłania Stanów Zjednoczonych w wojnę. Co więcej, konieczną jest organizacya stosunków z naszą emigracyą, choćby dla innych jeszcze celów. Bez względu na to, jaki los spotka nasze wychodźtwo zamorskie, musimy odrazu nad niem roztoczyć najtroskliwszą opiekę i nawiązać z niem węzły najściślejszego współdziałania. Nawet zostając za morzem, jest ono w stanie oddać nam poważne usługi. Trzeba, by życie kulturalne tego wychodztwa nie było tak jak dotychczas odciętem od życia w kraju macierzystym, by i gospodarcze stosunki oparły się natrwałych podstawach. Odrazu moglibyśmy się spodziewać wydatnej pomocy finansowej. Będzie się musiało zaciągać pożyczki u siebie i poza granicami kraju. Będzie się musiało szukać pieniędzy, a powinno się je znaleść wśród milionowych w każdym razie rzesz wychodźtwa, żyjącego za Oceanem. Jego byt materyalny jest lepszym, niż przeciętny byt materyalny w starym kraju; dolary, zamienione na obecne nasze a zapewne przyszłe nasze pieniądze dadzą sumy bardzo poważne. Coprawda wśród naszego wychodźtwa w Ameryce północnej nie wielu jest kapitalistów typu amerykańskiego, ale masy ludowe są w stanie zgromadzić wielkie oszczędności. Dzisiaj wielkie nawet pożyczki państwowe opierają się na ludowych oszczędnościach, na przekonaniu, że każde nawet najuboższy powinien państwu po-

spieszyć z pomocą. Otóż pożyczka przyszłego państwa polskiego, pożyczka przeznaczona na organizacyę życia państwowego, winna mieć powodzenie wśród ludności polskiej za Oceanem. A pożyczka taka może się udać wtedy, gdy stosunki z naszem wychodźtwem będą się opierały na trwałych podstawach.

Drugiem wielkiem ogniskiem naszego wychodźtwa zarobkowego jest głównie Westfalia, wogóle wnętrze Niemiec. Liczbę Polaków na tym obszarze podaje E. Romer na 792.000 za rok 1914. Choćby ta cyfra była zbyt optymistyczna, to w każdym razie wahania nie będą zbyt znaczne. Dzisiaj ci Polacy, którzy w poszukiwaniu lepszych zarobków udają się na Zachód Niemiec, utrzymują jak najściślejszy związek z ojczyzną i na obczyźnie organizują się na podstawach narodowych. Emigracya ta wywołana jest przyczynami gospodarczemi i tylko gospodarcze przyczyny w dotychczasowych warunkach mogłyby zmienić jej rozmiary i charakter. Ale niewiadomo, co będzie po wojnie, gdyż niewiadomo, którędy pobiegnie granica Polski. Wychodzcy nasi w głębi Niemiec mogą znaleść się odcięci od swoich podstaw narodowych i wtedy stanie się konieczną organizacya ich powrotu do kraju. Oczywiście sama propaganda narodowa i same hasła polityczne tutaj nie wystarczą, chodzić będzie o to, by ta ludność na swojej ziemi znalazła odpowiednie zajęcie. W każdym razie już teraz należy o tych sprawach pamiętać, a nie zwracać uwagi wyłącznie tylko za Ocean.

Następnie pamiętajmy o tem, że wojna obecna rozprószyła wiele ludności polskiej zarówno w kierunku wschodnim jak i zachodnim. Zwłaszcza na wschodzie liczne rzesze ewakuowane z kraju, pomnożyły znaczne zastępy ludności polskiej, już przedtem osiadłej w głębi Rosyi. Ludność ta na szczęście jest zorganizowana, pozostaje pod opieką polskich organizacyi społecznych, które są w stanie przeprowadzić racyonalnie jej powrót do ojczyzny. Jest nadzieja, że razem z uchodźcami z głębi Rosyi wrócą liczne zastępy inteligencyi polskiej, która tam przed wojną szukała zajęcia; a pośród niej jest wiele jednostek, bogatych w doświadczenia zawodowe i kapitały.

Jak widzimy, będzie to bardzo poważne i rozległe zadanie, by ściągnąć do kraja żywioły rozproszone na obczyźnie, których powrót do kraju jest wskazany ze względu na interes narodowy. Nie jest to rzecz łatwa. Albowiem powstanie państwa polskiego

nie wystarczy, by odrazu ściągnąć całą naszą dyasporę do jego granic. A zresztą i pod tym względem trzeba postępować ostrożnie, gdyż można w pewnych warunkach sprowadzić do ojczyzny ludzi, którzy nie znajdą w danej chwili odpowiadającego sobie zajęcia, których narazi się łatwo na rozczarowanie i zniechęci do pozostania w kraju. Pozatem trzeba się liczyć z wielkim kryzysem środków komunikacyjnych, który będzie jednem z najbardziej dotkliwych następstw obecnej wojny. Kryzys ten da się we znaki ze względu na przewóz osób i towarów. Tak jak między towarami trzeba będzie wybierać te, które są najbardziej konieczne dla odbudowania życia gospodarczego, taksamo koniecznem będzie odpowiednie uszeregowanie różnych grup ruchu emigracyjnego. Nie jest to możliwem bez jasnego planu, bez zdania sobie sprawy z tego, jakie kategorye wychodźców mogą wrócić do kraju i odrazu w nim znaleść zajęcie. Trudny wogóle problem tak zw. demobilizacyi gospodarczej po wojnie, nad którym szczegółowo zastanawiają się inne kraje, komplikuje się u nas jeszcze bardziej przez to, że ludność polska bardziej niż inne, w części i skutkiem wojny, rozprószyła się po świecie, że zniszczenie jest u nas większe i brak kapitałów bardziej dotkliwy.

Tak więc kwestya powrotu naszego wychodźtwa przedstawia się w sposób dość skomplikowany, wiąże się z całym szeregiem różnorodnych zagadnień powojennych. Ale nietylko powrót wychodźców trzeba tu brać w rachubę. Należy się też liczyć z możliwością, że nawet odrazu po wojnie z ziemi naszej zacznie się nowa emigracya, osadnicza lub sezonowa. Trzeba się liczyć z tem, że w pewnych warunkach mogą nie wszystkie nasze siły robocze znaleść odpowiednie zatrudnienie. A tymczasem kraje, bardziej zasobne w kapitał i przedsiębiorczość, mogą wysokimi zarobkami przyciągać emigrantów także i z naszej ziemi. Pewną rolę może tu odegrać sprawa zagranicznego kursu pieniądza. Niewiadomo, jaką będziemy mieli walutę, ale w każdym razie trudnem będzie wybudowanie naszego organizmu monetarnego wobec tego, że tyle na naszej ziemi grasuje różnych walut, że niektóre z nich są tak zorganizowane, jak gdyby wprost zmierzały do naszej ruiny gospodarczej. Otóż w porównaniu z państwami o uporządkowanych stosunkach monetarnych, będziemy mieli walutę gorszą. Jeżeli więc emigrant, który w Stanach Zjednoczonych oszczędził 1000 dolarów, przyśle je swojej rodzinie w kraju, to ta suma, za-

mieniona choćby na którąś z dzisiejszych walut, będzie się przedstawiała bardzo poważnie. Może to być walną zachętą do emigracyi. Niewiadomo zresztą, czy ta zachęta wyjdzie od Stanów Zjednoczonych. Być może, że tam wezmą górę prądy, które z powodów narodowych i konkurencyi zawodowej, są przeciwne immigracyi z środkowej i wschodniej Europy. Ale nawet gdyby tak było, jest jeszcze wiele krajów nowych, potrzebujących dopływu rąk roboczych i popierających osadnictwo europejskich emigrantów. Kto wie nawet, czy bogate w kapitały kraje zachodniej Europy, a zniszczone przez wojnę, nie będą ściągały robotników rolnych i przemysłowych skąd tylko się da i czy nie skierują swej uwagi na tak silnie dotychczas emigrujący kraj, jak Polska.

Nadto odrazu stanie się aktualną kwestya sezonowej emigracyi, zwłaszcza do Niemiec. Jest tam obecnie paręset tysięcy robotników z Królestwa Polskiego, zatrzymanych przez wybuch wojny i ściągniętych w ostatnich czasach, o których los musi się upomnieć państwo polskie. Wierzymy mocno, że przestaną oni już być bezpańską rzeszą, zdaną na łaskę i niełaskę junkrów, traktowaną gorzej ze względu na swoje polskie pochodzenie. Silna emigracya zarobkowa niewątpliwie dowodzi jednostronnego rozwoju stosunków społecznych w kraju, ale w każdym razie z punktu widzenia państwowego ci emigranci, których się wypuszcza za granice państwa, są dobrem czynnem, którego się nie daje zadarmo. To też jednem z pierwszych zadań przyszłego rządu jest to, by on się upominał o los tych wychodźców, względnie by ich odpływ skierował w innym, bardziej pożytecznym kierunku.

Słowem, w którąkolwiek zwrócimy się stronę, widzimy wszędzie ważne problemy, które gwałtownie domagają się rozwiązania. Widzimy to samo w każdej dziedzinie życia społecznego i gospodarczego, gdyż sama zmiana warunków prawno-państwowych, pomijając już oddziaływanie wojny, stawia nas wobec tylu nowych spraw. Ale nie wszystkie te zagadnienia są równie aktualne. Wiele z nich można stopniowo opanowywać, niekiedy można na razie zatrzymać *mutatis mutandis* istniejący stan rzeczy. Inaczej ma się sprawa z zagadnieniem emigracyi. Bo jeżeli można zatrzymać w mocy obowiązujące obecnie kodeksy karne i cywilne, zanim nie opracuje się nowych, to nie można utrzymać dotychczasowej polityki emigracyjnej i ustaw emigracyjnych, bo ich właściwie nie było.

A przytem nie można czekać zbyt długo z opracowaniem programu tej polityki, wydaniem ustawy emigracyjnej i tworzeniem państwowych i społecznych instytucyi, powołanych do opieki nad emigracyą i immigracyą. Gdybyśmy te rzeczy chcieli zostawić normalnemu biegowi spraw, czekali na ostateczne ukonstytuowanie się wszelkich władz państwowych, to prawdopodobnie ominęlibyśmy wiele okazyi, nadających się do pomyślnego załatwienia różnych spraw emigracyjnych. Jeżeli będziemy się ociągali z szybkiem regulowaniem naszych stosunków gospodarczych i społecznych po wojnie, to w takim razie uprzedzą nas ci, którzy mają już gotowe programy pracy i gotowy mechanizm państwowy, który można odrazu puścić w ruch we wzkazanym kierunku.

Utarł się u nas prawie że zwyczaj, że jeżeli ktoś pisze o jakiejś donioślejszej sprawie narodowej, domagającej się państwowej organizacyi, to proponuje utworzenie odpowiedniego ministerstwa. Mamy już projekty utworzenia ministerstwa sztuk pięknych, zdrowia publicznego itd. Jakkolwiek sprawa emigracyi i związane z nią ściśle zagadnienie będą miały i nadal u nas wyjątkową doniosłość, to niekoniecznie należy stawiać łatwą propozycyę, by w przyszłości stworzyć osobne ministerstwo dla spraw emigracyjnych i przez to uważać całą rzecz załatwioną. Minister jest nietylko szefem pewnej gałęzi administracyi, lecz — według przyjętych najpowszechniej zasad — członkiem rządu, który sprawuje polityczne kierownictwo kraju. Rząd ten nie może być zbyt liczny i musi być tak dobrany, by jego członkowie prócz znajomości swoich ściślejszych spraw mieli także pogląd na całość zagadnień państwowych. Nie należy więc wołać o wielu ministrów, choćby było wielu kandydatów. Wystarczy, gdy sprawy emigracyjne ujmie w swoje ręce osobny urząd emigracyjny, wyposażony odpowiednią władzą i zasobami materyalnymi. Musimy tworzyć te instytucye w ścisłem uwzględnieniu naszych potrzeb, ale jeżeli będziemy chcieli szukać wzorów zagranicą, łatwo je znajdziemy. Istnieje doskonała ustawa emigracyjna włoska, która w praktyce okazała swoje wybitne zalety. Podobnie i organizacya włoskich władz emigracyjnych może służyć w wielu kierunkach za wzór. Wiele postanowień ustawodawczych można przejąć z tamtej ustawy, lub też opracować je na jej podstawie, gdyż w znacznej mierze dotyczą one kwestyi, które mogą być w analogiczny sposób roz-

strzygnięte, niezależnie od lokalnych warunków, np. sprawa przewozu emigrantów, stacyi zbiorczych i wywiadowczych itp.

Kierownictwo całej polityki emigracyjnej i immigracyjnej ujmie niewątpliwie państwo w swoje ręce. Niepodobna w tych palących kwestyach czekać na prywatną inicyatywę, gdyż cały szereg spraw musi być bezzwłocznie rozstrzygnięty. Przytem działalność społecznych instytucyi w tej dziedzinie napotyka na bardzo wielkie przeszkody. Nie mają one dostatecznej egzekutywy, ani powagi na wewnątrz i zewnątrz. Co gorsza, podstawy finansowe prywatnych instytucyi emigracyjnych są dosyć niepewne, nawet niebezpieczne. Albo taka instytucya czerpie swoje dochody z opłat za pośrednictwo emigracyjne i wtedy naraża się na pokusy, by forsować emigracyę, by wchodzić w stosunki z przedstawicielami nie zawsze najczystszych interesów emigracyjnych; albo też rezygnuje z tego dochodu, a byt swój opiera na publicznych funduszach, a wtedy znów staje się instytucyą napół państwową, traci wobec państwa swoją samodzielność.

Nie znaczy to jednak, by należało odmówić znaczenia wszelkim prywatnym organizacyom w dziedzinie emigracyjnej. Błędną zupełnie jest wiara we wszechwładzę państwa. Można u nas spotkać się nieraz z poglądami, które upatrywać chcą we władzy państwowej radykalne lekarstwo na wszelkie społeczne niedomagania. Przeciwnie, ogrom zadań, które musimy rozwikłać po wojnie, wymaga ścisłego i harmonijnego współdziałania organizmu państwowego i dobrowolnych zrzeszeń społecznych. Niema racyi odmawiać znaczenia tym ostatnim z powodu powstania państwa. Skutecznie walczyć z pokątnym ajentem emigracyjnym, który nieuświadomionym żywiołom obiecuje złote góry za morzem, potrafi tylko instytucya państwowa, rozporządzająca poparciem całego społeczeństwa; wezwania do powrotu pozostaną bez oopowiedzi, jeżeli nie poprze ich samorzutna propaganda; pośrednictwo pracy, zdolne do uregulowania ruchu emigracyjnego, musi być wolnem od nałogów biurokratycznych, a oprzeć się na czynnych siłach społecznych.

Bez względu na to, jakie podstawy przyjmie się w polityce emigracyjnej, chodzi o to, by ją zorganizować jak najszybciej, by ten żywiołowy, bezładny ruch ująć odrazu w karby interesu narodowego. Dotychczas emigracya była złem lub dobrem dla nas, ale była tem mocą swych właściwości, rola świadomego wpływu

społeczeństwa była w niej minimalna. Przez opanowanie ruchu emigracyjnego można wielu strat narodowych uniknąć, byt emigrantów uczynić znośniejszym, a przedewszystkiem znaczne korzyści przysporzyć narodowemu gospodarstwu. Trudno niewątpliwie pójść tak daleko w zorganizowaniu emigracyi, jak poszła naprzykład Japonia. Emigracya japońska jest to emigracya, popierana i uregulowana całkowicie przez państwo w tym celu, by obsadzać obce obszary i ciągnąć z nich gospodarcze korzyści dla ojczyzny. Państwo wywiera stanowczy wpływ na kierunek i siłę wychodźtwa, przeciwdziała wynarodowieniu, ułatwia utrzymywanie związków z ojczyzną każdej opuszczającej ją jednostce. Dzięki temu poprawia się znakomicie bilans handlowy japoński, a prawie wszyscy wychodźcy powracają po spełnieniu swych zadań do kraju. Nowa emigracya jest zbyt liczną i zbyt różnorodną, by można było marzyć o tak precyzyjnem jej uregulowaniu. Ale dzisiejszy chaos, bezład, brak planów i jasnych idei żerowania mętnych indywiduów pod pozorem filantropii, to wszystko powinno ustać. A powinno ustać odrazu, gdy tylko nasze państwo zacznie się organizować. Jeżeli stracimy czas na długie przygotowania i dyskusye, zamiast uchwycić śmiało sprawy emigracyjne przez świadomą celu organizacyę, to najlepsze chwile miną i narazimy się znów na niepowetowane szkody.

R. Rybarski.

Kajus Cezar Kaligula
K. H. Roztworowskiego [1]).

Mniej więcej w pięć lat po Judaszu obdarzył p. Roztworowski teatr nasz Kaligulą. Przystępując do recenzyi ostatniego utworu — z rozmysłem zaczepiamy o poprzedni. W koncepcyi bowiem obu uderza pewien rys wspólny — jest nim budowanie bardzo splątanych zagadnień psychologicznych, oraz tendencya do przewartościowywania ustalonych przez tradycyę dziejową wartości. Judasz — to próba, jeśli nie rehabilitacyi, to przynajmniej wyszukania motywów najohydniejszej ze zbrodni, zbrodni zaprzaństwa i zdrady. Kaligula — to wysiłek usprawiedliwienia degeneracyi psychicznej nieszczęściem i wpływami ujemnymi, jakich otoczenie dostarcza.

Biedny rybak z Kariotu zbliżył się do Chrystusa, bo ten panowanie maluczkim obiecywał. Ale uczeń o zdobyczach ziemskich marzy, Mistrz zaś Królestwo Boże ma na myśli i stąd rozdzwięk. Gdy zaś niebezpieczeństwo dokoła Chrystusa wzrastać poczyna, gdy Judasz bankructwo swych nadziei widzi, wtedy męką za głoszenie fałszywej nauki zagrożony — na zdradę się godzi. Po akcie tej zdrady pojawia się w wieczorniku, przed ostatnią wieczerzą. Skargi jego, próba uratowania Mistrza przez ostrzeżenie uczniów o grożącem Mu niebezpieczeństwie, połowiczne przyznanie się do winy, każą przypuszczać, że proces wzwyżny, od występku ku skrusze wiodący już się rozpoczął, ale wnet potem z zupełną przytomnością wydobyte od Piotra i zużytkowane ze-

---

[1]) Karol Hubert Roztworowski, „Kajus Cezar Kaligula", dramat w czterech aktach. Kraków 1907. Nakład S. A. Krzyżanowskiego.

znanie, gdzie Pan będzie tej nocy, każe przeczyć temu przypuszczeniu. Podchwytując ekstatyczne słowa Jana: „A słowo ciałem się stało“ i słaniając się na widok Chrystusa, okrzykiem „I mieszkało między nami!“ kończy Judasz swą rolę i dramat zarazem. A potem co? Wszakże tragedya jego nieskończona. Wszakże potem, co widzimy na scenie, przychodzi ostatnia wieczerza, przychodzą słowa Chrystusa: „Jeden z was wyda mnie“, i noc długa i ostateczny czyn wydania Pana, pocałunek, wreszcie zgryzoty potępieńca i zgon samobójczy. Jakże się psychika zdrajcy wskroś tych wydarzeń, tradycyą ewangeliczną nam przekazanych, rozwijać będzie? Jeśli od sceny IV., aktu IV., gdy przed Faryzeuszami i Saduceuszami staje, „obłąkanemi oczyma patrzy przed siebie“ i „ma robić wrażenie człowieka, który śni“, jeśli powtarzam, mamy go uważać za nieprzytomnego, to mniejsza o zakończenie. Czyny obłędem wywołane nie tworzą ogniw logicznie się ze sobą wiążących i łańcuch ich byle gdzie może być przerwany. Ale jeśli w Judaszu mamy widzieć „problem sumienia“ według wyrażenia jednego z krytyków, to problem ten zostaje nie rozwiązany, ale poprostu obcięty.

Przejdźmy teraz do Kaliguli.

Historya mówi nam, że wkrótce po wstąpieniu na tron został on powalony ciężką chorobą i że odtąd szaleństwami i okrucieństwem znaczył swe panowanie. Poeta chce się w życiu jego doszukać tragedyi instynktów lepszych, dążących ku górze a brutalną siłą a nikczemnością otoczenia złamanych, unurzanych w błocie. Wolno mu kusić się o to. Prawda historyczna nie obowiązuje artysty bezwzględnie. On jej swoją własną „prawdę wyższą“, ową „*höhere Wirklichkeit*“ Goethego przeciwstawić może. Chodzi tylko o to, ażeby to, co stworzyła jego wyobraźnia, żyło, ażeby miało ową logikę i moc wewnętrzną, która narzucając się poniekąd widzowi czy też czytelnikowi, każe mu wierzyć w siebie i zapomnieć o tem, co tradycya dziejowa przekazała.

Pan Roztworowski... ale nie uprzedzajmy autora, na utworze samym śledźmy myśl jego od początku.

Akt pierwszy wprowadza nas do mieszkania Lollii, pierwszej żony Cezara. Zgromadzeni tam spiskowcy rozprawiają o nieudanym zamachu na życie Kaliguli. Zamach nie został wykonany, bo Cherea, trybun pretoryanów nie dał hasła, bo w zamieszaniu padło jakieś hasło obce, które mogło być głosem szpiega i prowo-

katora. Cherea, starzec zdziecinniały, tłumaczy się, że zawiódł, bo w nim nagle dawne wspomnienia ożyły, bo przecież Cezar, „to on,

> Kajus, Germanika syn,
> W nasze Kaligi ubrany
> Przez nas żołnierzy wypiastowany...“

Prawie cały akt wypełniają wzajemne wyrzuty i spory. Tchórzostwo swe i nikczemność spiskowcy starają się usprawiedliwić wzniosłymi a pustymi frazesami. Wśród tych sporów na pierwszy plan wybijają się postacie: wyzwoleńca Kallistusa, który przynosi Lollii wieść niepokojącą, iż spiskowcom zagłada grozi, jeśli dłużej zwlekać będą; obok niego Lollii za odtrąconą miłość dyszącej nienawiścią i młodego, szlachetnego zapaleńca — Regulusa, zakochanego w Lollii, który w jej ręku może stać się powolnem narzędziem zemsty. Pojawienie się Protogenesa, dworzanina i zausznika Cezarowego pozbawia spiskowców reszty przytomności. Protogenes każe się domyślać spiskowcom, że i on i pan jego o zamachu wiedzą, poczem na ucztę w imieniu Kaliguli ich prosi. Regulus postanawia na uczcie tej zabić Cezara. Skłania go do tego w pierwszej chwili uczucie dla Lollii, która zręcznie wspomnieniem dawnej namiętności zazdrość a zarazem nadzieję w sercu jego wzbudza. Wkrótce jednak grę niewieścią przejrzał — ale się nie cofnie:

> „Zabiję!
> Bo ludzi dobrej woli upadla bezprawiem,
> Bo człowieczej godności i szczęściu ubliża,
> Bo tych, co w jutro wierzą, przygważdża do krzyża“.

Akt drugi rozgrywa się w pałacu Cezara. Spiskowcy przybywają na ucztę. Wita ich cisza złowroga. Lampy płoną, stoły zastawione, ale nikt gości nie przyjmuje. Zalęknieni, robią oni wrażenie osaczonej zwierzyny. Zdenerwowanie ich dochodzi do szczytu, gdy światła wszystkie gasnąć poczynają a w ciemnościach odzywa się chór, nakazujący powitać Cezara. Nastrój trwogi i oczekiwania! Przerywa go straż germańska, towarzysząca Kaliguli. Wreszcie na scenie pojawia się Cezar. I postać jego i zachowanie zostały przez poetę opisane z wielką drobiazgowością. A więc ma on „skronie zapadnięte“, „oczy błyszczące gorączkowym blaskiem“. Twarz jego „nie pozbawiona szlachetności rysów“, „nozdrza rozdęte“ i to rozdęcie wzmagające się stopniowo, oraz z ruchem

oblizywania warg ma mu nadawać wyraz „przerażającego okrucieństwa“. Zresztą winien on robić wrażenie zupełnego posągu. Po bełkotliwej ze strachu przemowie jednego ze sprzymierzonych kładnie się na brzuchu na łożu i patrzy na scenę „upiornym wzrokiem człowieka, którvby spał z otwartymi oczyma“. Wreszcie zasypia. Po chwili budzi się z okrzykiem trwogi i od tej chwili poczyna odsłaniać nam swe duchowe oblicze. W najwyższem rozdrażnieniu wyznanie pada za wyznaniem. Dowiadujemy się zatem, że konia wkrótce uczyni konsulem, bo mu obrzydło po czterech latach panowania „uważać bydło za niebydło“. Dowiadujemy się dalej, że oddawna, bo od chwili powstania ze swej choroby pojął on, iż poddani jednego tylko pragną: łask cesarskich i o jedno tylko dbają: — o brzuch własny. Gdy Cherea uwierzył, że Cezar ostrygą otruć go zamierza, a mówiąc nawiasem, gdy widz i czytelnik w to wierzy, gdyż Kajus ze złośliwością waryata, ale zarazem z dokładnością aktora komedyę tę odgrywa, gniew jego prawie do szału dochodzi:

„Więc, nawet ty, nawet ty stary,
Coś mię zamiast w pieluchy powijał w sztandary...
Tyś śmiał uwierzyć
Nie wiem komu,
Że tutaj w moim domu...
Ja byłby zdolny ciebie otruć.
Kto ci tę myśl podsunął, no kto? oni...

Po krótkiem cofnięciu się do wspomnień dzieciństwa, w którem stary Cherea był mu niańką i opiekunem, zwraca się Cezar w najwyższej furyi do otoczenia. „Prawie, że z szałem“ lży Romę obecną i przeszłą. Potok ten obelg przerywa mu Regulus groźnym i hardym okrzykiem; „Cezarze wara!“ Na krzyk ten Kaligula zatrzymuje się, pełen zdumienia — poraz drugi w życiu usłyszał głos człowieka. Raz pierwszy było to w Galii, gdy przebrany za Jowisza kazał sobie cześć oddawać, a chłop jakiś wielkim błaznem go nazwał. Więc dwóch tylko ludzi spotkał w życiu; reszta — to trupy, których on nie zabije, lecz je poprostu grzebie. Biorąc Regulusa pod rękę, „z wzrastającym aż do spazmatycznego wybuchu śmiechem“ „tak, że powinien robić wrażenie waryata“, opowiada mu Cezar o komedyi, jaką kazał odegrać wojsku, nibyto zdobywając Brytanię, a potem tryumf ten uświetniając uroczystościami w Rzymie. Śmiech Kaliguli zaraża całe otoczenie, które

wpada w rodzaj „potwornego histerycznego spazmu“. Przerywa go nagle Kaligula okrzykiem „Co to!“ poczem z „tępym smutkiem w głowie“, „przetarłszy czoło i oblizawszy się“, zwraca się do Regulusa i pyta: „Lubisz mię? Bo jestem bardzo nieszczęśliwy. Nie sypiam całemi nocami. Miewam zwidzenia, takie sny...“

Młodzieńca przerażonego tem, co widzi, do szczytu zgrozy doprowadza ordynarna kłótnia żony Kajusa Cezonii z Lollią. Cezar słucha tej kłótni spokojnie. Ona dostarcza mu jeszcze jednego dowodu ogólnej nikczemności. Obiecuje rozpalić Regulusowi taką pochodnię prawdy, że będzie odtąd chodził „z czarną plamą w oku, jak ktoś, kto spojrzał w słońce“. Cała ludzkość bowiem przepodlona do cna i gdyby miała jedną szyję, on, Cezar, wiedziałby, co ma zrobić.

Nadchodzi więc ostateczna próba przekonania młodego zapaleńca. Kaligula daje do zrozumienia spiskowcom, iż zna dobrze ich zamiary. Poczem każe strażom przysiądz, że go bronić nie będą, lecz że po jego zgonie morderców na mieczach rozniosą. Straże przysięgają, a Cezar z odkrytą piersią woła:

„Mordujcie kwiryci!
Za wolność, za ojczyznę! duch Romy wam każe“,

Żadna jednak ręka się nie podnosi. Spiskowcy gną się w upodleniu; straż ich za drzwi wyrzuca; Kaligula wyczerpany woła: — Wina! — potem „jak chore dziecko“: — Spać! — po chwili „prawie nieśmiało“ pyta: — Chcieli mię zabić? — Na to Regulus, którego ostatni czyn Cezara uczynił z wroga najwierniejszym sługą, rzuca sztylet, ukryty pod togą, i odpowiada:

— Nie! ja chciałem,
Ale za wcześnie świat poznałem! —

Poczem Kaligula „zupełnie tępo“, słowami

— A ja nad światem panowałem! —

kończy akt drugi dramatu.

W akcie trzecim w cubiculum Cezara widzimy jego, Cezonię i Regulusa. Młody zapaleniec całem sercem władcy teraz oddany. Wprawdzie Kaligula przyznaje mu się w ciągu rozmowy: „Wiedziałem, że się nie odważą“. Ale Regulus pomimo to, służyć mu pragnie. Zresztą zachowanie się Cezara jest, co do nastroju, prze-

dłużeniem poniekąd aktu drugiego. Te same przejścia od tępoty i bezsilności prawie że idyoty — do wybuchów szaleńca. Te same skargi na podłość otoczenia, które każdego upodlić musi, gdyż:

— Widząc, że jesteś jedyny,
Zwątpisz w siebie i w końcu staniesz się jak oni! —

A przytem przeczucie śmierci coraz silniejsze. Wierzy w nie Kaligula, bo mu na jutro wróżbita egipski zgon przepowiedział. Na samobójstwo jednak, które mu Regulas doradza, nie ma odwagi, bo chociaż „nieraz o tem marzy“, ale „zanadto go wyniszczyli.“. Gdy Regulus niedość jeszcze oswojony z „niesamowitem“ zachowaniem się Kajusa pyta się Cezonii: — Co to, czy szał? — ona mu odpowiada:

— Nie szał. Trucizna, którą go poili.
Z początku wszystko, wszystko miał,
I serce miał i rozum miał,
I chciał cały lud uszczęśliwić,
Pamiętam, ale nie można się dziwić! —

Zabili mu bowiem ojca, zamorzyli brata, matkę do śmierci zmusili i tysiączne okropności o jego szaleństwach i okrucieństwach zaczęli przed światem głosić... dlatego tylko, że podatki nakładał!

W scenie V-ej aktu VII-go pojawia się Protogenes z wieścią, iż Cezazowi grozi już nie spisek, ale bunt wojska. W rozmowie z Kaligulą traktuje go przybyły, jak „głupiego, niesfornego dzieciaka“ i nakazuje mu dla zażegnania niebezpieczeństwa dary porozsyłać, lud uposkoić złotem — a oprócz tego — usunąć Regulusa. Ostatni ten rozkaz wydaje Protogenes podczas nieobecności młodzieńca, który na chwilę Kaligulę opuszcza. Po wyjściu Protogenesa, Kajus złamany, zidyociały nieledwie, grzebie się w kosztownościach. W trakcie tego wraca Regulus, prowadząc za sobą ku ratunkowi i odrodzeniu duszy Cezarowej, filozofa Demetriusa. Demetrius przeczuwa już świt nowej, nad rozpadającą się starożytnością wstającej epoki, lekko ironizuje na temat chwili obecnej, wspomina o jakichś „świętych sprawach“ przyszłości i mimowoli wydobywa z Kaliguli wyznanie, które ten czyni, „wybuchając okropnym płaczem“:

— Kazali mi — rozdać to,
Kazali mi — zabić go —

Demetrius uspokaja go: „Więc nie rozdasz!“ „nie“, „nie zabijesz!“ Na to nie otrzymuje pozytywnej odpowiedzi, bo Kaligulę ogarniają osobliwe skrupuły i wątpliwości: — a jeśli Regulus, żyjąc, zmarnuje się, zwolna, boleśnie. — Rozmowę przerywa w tem miejscu wejście Cherei po hasło. Cezar, za namową Demetriusa, daje mu „piękne i nowe“ hasło „Przebaczenie“, zastrzegając jednocześnie, że jest to ostatni jego dar dla Rzymian. Poza tem — nic więcej nie dostaną; zwracając się zaś do Regulusa, wręcza mu puhar z trucizną i ze słowami:

„Takich jak ty szkoda“.

Regulus bierze puhar „z bolesnem zdumieniem“. Cherea „trzęsie się jak liść“. Demetrius patrzy w Regulusa, a widz i czytelnik staje w osłupieniu wobec wyżyny etycznej, na jaką wydostał się nagle Kaligula. To aż nadczłowieczeństwo!

W akcie IV-ym widzimy spiskowców w kurytarzu cesarskiego pałacu. Jeśli poecie chodziło o pokazanie nam zamętu, jaki w ich zamiarach panuje, to dopiął tego w zupełności. Są chwile, w których i widzowi i czytelnikowi trudno się w tym chaosie zdań i przypuszczeń zoryentować. To jedno tylko wiemy, że zajście w pałacu cesarskim, z bytnością Protogenesa i śmiercią Regulusa związane, przedstawia się im niejasno. Usłyszawszy o haśle „przebaczenia“ i o projekcie rozesłania darów, cofają się nawet chwilowo od zamiaru morderstwa, bo pocóż mordować tego, który obdarza — lepiej brać! Do pierwotnego planu każe im nawrócić Cherea, który po swojemu referuje to, czego w nocy był świadkiem. Cezar nic już nikomu nie da, a nowe hasło, to podstęp, by spiskowców oszukać i rozbroić — więc zamordować go trzeba.

Wkracza Kaligula bez straży w towarzystwie jednego tylko dworzanina. Drażni i wyzywa spiskowców, daje im rady, jak mają mordować, którędy potem uciekać. Sprzysiężeni zdenerwowani, niepewni, uginają się raz jeszcze, oddają sztylety. Cezar je rzuca im pod nogi, poczem zbliża się do Cherei „jakby skradający się, zmienioną, straszną twarz przybliżając do jego twarzy i cedząc zgłoski“, pyta: — Uderzysz? — Cherea „drży jak liść i machinalnie wyjmuje sztylet“, mówiąc jednocześnie: — Nie! — Cezar pyta poraz wtóry. Dworzanin „oszalały ze strachu“, woła na straż. Spiskowcy, „którzy zahypnotyzowani Cherеą, wydobywali sztylety, krzyczą rozpaczliwie:“ — Straż! — Cherea „zmienionym z prze-

rażenia głosem, przechylając połowę ciała w tył, jakby w chęci cofnięcia się, a jednocześnie, jakby bezwiednie zamierzając się na Kaligulę sztyletem", woła raz jeszcze: — Nie uderzę! — Spiskowcy „u szczytu paniki", rzucają się nagle z okrzykiem: — Bij! Morduj! — Cezar pada pod uderzeniami sztyletów. Na scenę wbiega Lollia „prawie z obłąkaniem" i z okrzykiem: — Bij! — Spiskowcy uciekają. Przy trupie pozostaje Lollia i Demetrius. Lollia z pieszczotą niemal pochyla się nad ciałem zabitego. Gdy Demetrius nie pozwala mu utwierać powiek, by nie przejrzał, bo to by.... Lollia podchwytuje nagle „jak lwica", „prawie warcząc": — Potwór! — — Nie — tylko człowiek! — kończy Demetrius, poczem zasłona spada.

Dwa czynniki prowadzą akcyę dramatu p. Roztworowskiego: Cezar i spiskowcy, którzy Rzym ówczesny mają reprezentować. Przyjrzyjmy się najpierw Cezarowi. Nawracając raz jeszcze do historyi, przypominamy, iż nadzieje, jakie Rzymianie w młodym władcy pokładali, zostały zniweczone chorobą, z której Kaligula wstał szaleńcem. Poeta motyw choroby zupełnie na bok usunął, tylko mimochodem w scenie II-ej aktu II-go o niej wspominając. Rozumiemy postępowanie jego w tym względzie. Choroba — to czynnik zupełnie mechaniczny. To, że ta lub inna komórka mózgowa panującego została krwią zalana — może być powodem olbrzymich wstrząśnień w jego państwie. Jeżeli jednak do samej istoty kompozycyi dramatycznej w jej poważniejszej odmianie, a więc do tragedyi i właściwego dramatu sięgniemy, to spotkamy się tam z bardzo zasadniczem prawem: oto czyny waryata nie mogą same w sobie stanowić materyału dla przeżyć tragicznych i człowiek obłąkany nie może być właściwym bohaterem tragedyi. Brak mu bowiem dwóch czynników, bez których kolizya tragiczna powstać nie może; a więc: woli świadomej siebie, którąby życiu otaczającemu mógł przeciwstawić i pojęcia realnej wartości przejawów tego życia. Przytem dramat powinien być łańcuchem czynów, organicznie ze sobą powiązanych, a w czynach szaleńca organiczności tej być nie może. Dlatego p. Roztworowski, tworząc tragedyę Kaliguli, musiał tradycyę historyczną na bok usunąć. Znalazł on więc źródło upadku umysłowego i moralnego u Cezara w podłości jego otoczenia i tu znowu musiał historyę do swych celów nagiąć. Kaligulę przewartościował na *plus* i zapragnął odszukać w nim śladów jakichś skrzydeł, które brutalną siłą życia

złamane, w bagnie ugrzęzły. Rzym zaś współczesny przecenił na *minus*, czyniąc go nikczemniejszym niż był w rzeczywistości, ażeby w ten sposób uzyskać pożądaną różnicę poziomów.

W robocie tej jednak ujawnia się brak zharmonizowania pomiędzy zamierzeniem a wykonaniem. Kaligula wbrew zamiarom poety, czy też pomimo ich, robi wrażenie zupełnego waryata. Sam autor te cechy obłędu w zachowaniu się jego wewnętrznem zupełnie wyraźnie podkreśla. Anormalność umysłowa Cezara narzuca się silnie na każdym kroku w zmianach gwałtownych jego usposobienia, w atakach niemal furyi, obok zupełnej tępoty, złośliwości najostrzejszej, obok dziecinnej słabości i niedołęstwa. A pamiętajmy, że czyny szaleńca ze stanowiska estetycznego bardzo rychło przestają interesować.

Pomijamy już to, że przeżycia te, same w sobie ujęte, a ukazane nam w wybuchach Kaliguli, w] monologu Cezonii z aktu III-go nie tłumaczą jeszcze tych nizin, na jakie dusza Cezara zeszła. Wszakże i Hamlet nie po różach stąpał i nie samymi wzorami cnoty był otoczony, a jednak jakże mu daleko do tego zwyrodnienia, jakiemu uległ Kaligula. Ale my poprostu w walor tragiczny tych przeżyć rychło wierzyć przestajemy. Owa „wyższa prawda“, o której na początku recenzyi wspomniano, nie ma u p. Roztworowskiego ostatecznej siły. Nic nas nie przekonywa, że Cezar jest naprawdę jedynym człowiekiem wśród stada zwierząt i że ból jego i oburzenie na przyczynach realnych oparte, a męstwo, gdy pierś przed spiskowemi odsłania, nie jest bezmyślnym czynym waryata.

Co do Rzymu, to obniżając jego poziom w osobach spiskowców, wytworzył poeta sytuacyę trochę tendencyjną i sztuczną. Że wśród kwirytów za czasów Kaliguli nie brakło nikczemników i tchórzy — na to się chętnte godzimy. Ale że właśnie i wyłącznie ci tchórze tylko musieli być wybrani, ażeby przez cały ciąg sztuki zawodowo prawie przygotowywać się do spisku — to naprawdę traf szczególny.

Z natury samej obu czynników, kierujących dramatem, wynikają wady w akcyi tego dramatu. Pomiędzy szaleńcem z jednej strony, a gromadą zdenerwowanych, tchórzliwych nikczemników z drugiej, nie może ona posiadać silnej więzi wewnętrznej. Toczy się więc trochę na chybił trafił. Mogłaby się była zakończyć na akcie II-gim; z woli poety ciągnie się do IV-go. Gdyby zaś pa-

nika, która odtąd sztylety spiskowców hamowała, nie była ich popchnęła do uderzenia w akcie ostatnim, moglibyśmy jeszcze przez parę następnych patrzeć na wahanie sprzysiężonych i na szaleństwo Cezara.

Wspomnieliśmy powyżej o pewnym rysie wspólnym w Judaszu i Kaliguli. A zatem i tu i tam pragnie poeta zbudować i rozwinąć bardzo splątany problem etyczny, i tu i tam sięga po przewartościowanie tradycyjnych wartości. Ale w obu utworach istnieje niedociągnięcie pomiędzy postawieniem tego problemu a jego rozwiązaniem. W Judaszu nie rozplątany do końca, obcięty — w Kaliguli w nicość się rozpływa!

W streszczeniu dramatu rozmyślnie przytoczyliśmy w cudzysłowach nader obfite wskazówki, wygląd zewnętrzny osób dramatu, ich słowa i gesty określające. Drobiazgowe one i nieraz może samodzielność aktorów krępujące, mówią o zamiłowaniu autora do nastrojów osobliwych i zmieniających się z kalejdoskopową szybkością, jak l u b i e ż n y t r a g i k o m i z m Cezonii w akcie III-cim, scenie II-giej, jak zachowanie się Lollii w scenie ostatniej aktu IV-go.

Na zakończenie jeszcze jedno. Można nie rymować wcale — nie powinno się niedbale rymować. Takich wierszy jak:

— Cezar przeszedł... właściwie nie było co robić —
— Było go ścigać i było go bić. —
Akt I., scena I.

Albo

— Gdy Palatyn Suburra i Forum...
razem
zwalą się tutaj i wrzasną — giń! —
Cóż wtedy —
— Ja do dworum...
Akt III., scena I.

Albo

Otrzymali nowe hasło
I chociażby sto miast wrzasło,
Choćby sto piorów trzasło...
Nic już więcej nie dostaną.
Akt III., scena X.

Takich wierszy, powtarzamy, dziś już pisać nie wolno. Na to jest język polski za pięknym, ze subtelnie wyrobionym materyałem.

M. Dynowska.

Walka Jakóba z aniołem, czyli Śmierć Marchołta.

Z poematu: **„Marchołt gruby a sprośny“.**

Końcowe sceny aktu czwartego.

(Uboga izba.)

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Marchołt *(podśpiewując z cicha).*

Słońce! Słońce!
Tralalala! Tralalala!
Smolarz w lesie spotkał drwala
I powiada:
„Gdzieś tam we wsi, gdzieś tam w mieście
Franc z Marynką
Pod pierzynką — — — —“
Witam pannę Maryannę —
A gdzie Franc?... Co?... ciągle pości?...

Gospodyni Marchołta.

Tylko głupstwa nieustanne
Trzymają się jegomości...
Choć nie pierwszej pan młodości,
Nawet — rzeknę — — — już odchodzę — — —
Posprzątałam... A po drodze
I w papierów pańskich siła
Jeszczem oczko zapuściła —

Nawet jakaś myśl mi wpadła,
Żeby, mówię, tego bębna
Uczyć, panie, abecadła
Na tytule pańskiej rzeczy — — —

M a r c h o ł t.

Myśl odrębna,
Albo — zwykła... — Lecz się dziwię,
Czemu to się stało dziś,
A nie wczora...
Bywa jednak... Sprawiedliwie
Rzec to można: idzie pora,
Której człowiek
Nie przewidział, choć swych powiek
Nie zamykał... A cóż chłopię?

M a t k a *(Gospodyni Marchołta).*

Ten mój Krzyś?...

M a r c h o ł t *(do matki).*

Jest na tropie
Innych spraw — — —?
Pewnie beczy — — —?

M a t k a *(Gospodyni Marchołta).*

Chłopiec woli
Po murawach gnać, po roli,
Brać potoki, rzeki wpław,
Niśli słuchać o — niedoli — —

M a r c h o ł t.

Dzięki Bogu — — — — Pisklę małe,
Gdy porośniesz całkiem w pierzę,
Gdy twe skrzydło sił nabierze,
Marchołtową głoś mi chwałę
W słowie, w czynie!
Lubisz łąki, lubisz drzewa,
Zaścielony rżyskiem łan — —

M a t k a *(Gospodyni Marchołta).*

Żeby zmarniał tak, jak pan? — —
Żeby poszedł na pustynię — — —?
O nie na to ptaszek śpiewa — —

D z i e c k o.

Słońce! Słońce! Tralalala!...
Panie Marchołt!...

M a t k a *(Gospodyni Marchołta).*

Nie pozwala
Matka na to!...

M a r c h o ł t.

W swej miłości?...

M a t k a *(Gospodyni Marchołta).*

Ale — — — panie!
Masz pan gości...
(Znika wraz z dzieckiem.)

M a r c h o ł t *(za odchodzącymi).*

Na śniadanie?...
Uraczę ich pieprzem, solą — —

W i ó r k o w a [1]) *(razem z Wiórkiem wysuwając się cicho z kąta).*

Z bożą wolą
I to można, bez rosołu,
I bez chleba przełknąć — — —

M a r c h o ł t.

Proszę!...
Na rozkosze
Ciemiężycy dodam jeszcze...

W i ó r k o w a.

I od tego by nas dreszcze
Dziś nie trzęsły...

---

[1]) Cfr. akt I. „Chimera".

Wiórek.

My pospołu,
Panie zięciu, wytrzymali
Już na wszystko!... Nic nie pali
Już nas w gardle, ni tam w głębi —
Gdzieś w żołądku...

Wiórkowa.

Wszystko u nas jest w porządku,
Panie zięciu!
Jeno to mnie wielce gnębi
I dziś jeszcze, żeś mą córę
Wygnał z domu — —

Wiórek.

Córę naszą...

Wiórkowa.

Lecz i tak, mój słodki, luby,
Rada zamknę cię w objęciu — — —
Pójdź!!...

Wiórek.

Ja również...

Marchołt.

Czy ponure
Jakieś widma dziś mnie straszą?
Zali nadszedł dzień mej zguby?...

Wiórkowa.

Gdzie tam!

Wiórek.

Gdzie tam!

Marchołt.

Nie poznaję...

Wiórkowa.

Nie poznajesz?... Ja Wiórkowa,
Twa teściowa...

Wiórek.

Stolarz Wiórek, wiesz, twój teść...

Marchołt.

Teść, czy nie teść, wszystko jedno!...
Musieliście tutaj wleść?...

Wiórkowa.

Nie w tem sedno!
O, bynajmniej!... Tylko wieść
Chcieliśmy ci przynieść sami,
Że się dobrze dzieje z nami,
Odkąd w inne myśmy kraje — —

Marchołt.

W inne kraje?

Wiórkowa.

Niby tak,
W inne, mówię, okolice,
Na odmienny, widzisz, szlak...
Lepiej dziś nam, niźli tobie
I tym twoim...

Wiórek.

Tak, dziś nam
Stokroć lepiej!

Marchołt.

Jakim moim?... Jestem sam — —
Niechże pani się odczepi!...

Wiórkowa.

Sam, jak krzak —
Tak jest, tak —
Tam na grobie! —
Nie! Przenigdy!... A twa żona...

W i ó r e k.

Nasza córka!...

W i ó r k o w a.

Opuszczona!

W i ó r e k.

Porzucona!... W biedzie, w nędzy...

M a r c h o ł t.

Co? Na litość mnie bierzecie?...
Chcecie we mnie wzbudzić dreszcze
Miłosierdzia?... Nigdy w świecie!
Kłaniam się wam bardzo nisko — —
Tylną częścią mej powłoki — —
Gotów jestem w czci głębokiej
Proch zamiatać wam z pod stóp,
Lecz od tego jam daleki
I dziś jeszcze...
Odwróciłem się na wieki
Od tej jędzy,
Od tej ścierki,
Co Litością niby zwie się.
A potrafi, jak gamratka,
Do ostatka
Ludziom słabym wyssać krew
I dzielniejsze nawet dusze
W swój nikczemny zmienić łup!
„Precz!“ tak brzmiał mój dawny zew,
I dziś jeszcze wołać muszę —
Aż do końca mej żołnierki —
„Precz, ty biesie!“...
Gdybym dzisiaj siadł na tronie,
Gdyby dzisiaj moje dłonie
Znowu berło dzierżyć miały,
Byłbym równie zatwardziały,
Równie srogi! —
Niepewności wszelkie źródło
Usuwałbym i dziś z drogi,

Chociaż, czuję, me siedzisko
Mocno schudło
I opadło
I mniej silnie i mniej pewnie
Siedziałoby na stolczyku — — —
Jeszcze jabym tej królewnie — —
Precz, widziadło! — —
Pluję na cię — — — —!

Wiórek.

Proszę ciebie najłaskawiej,
Drogi zięciu, drogi bracie —
Niech pan zięć się uspokoi!
Z tego krzyku
Zięć mój, widzę, aż się dławi,
A w plwocinie krew — —!

Wiórkowa.

Daj spokój!
Już tak sobie nie prorokuj,
Zięciu luby,
Zięciu miły — —

Wiórek.

O to prosi cię twój teść — —
Lituje się, panie zięć!...

Wiórkowa.

Lat pięćdziesiąt może pięć,
Albo sześć —
Według waszej tu rachuby,
A twe siły
Już się całkiem wypaliły —
Właśnie z tego — — — żal mi, żal!
Po co tak się męczyć?... Może
I powietrze to, nieboże,
Szkodzi tobie?... Owszem, owszem,
I z powietrzem my cię zdrowszem
Zapoznamy... Do nas w gości!

Nie daleka to jest dal — —
Blisko... blisko... A zaś ona — —

W i ó r e k.

Twoja żona
Porzucona, opuszczona —

W i ó r k o w a.

Trochę później, trochę prędzej
Dostanie się w me ramiona —
Tak, w ramiona szczęśliwości — — —

M a r c h o ł t.

A... jej dzieci?

W i ó r k o w a.

Rzezimieszki, czy opoje —
Bohatery może młode — —
Może chamy — —
Gdzieś ruszyły na swobodę — —
Ale my je wyszukamy —

W i ó r e k.

Wyszukamy, przyjdzie czas — — —

W i ó r k o w a.

Teraz ty się gotuj w drogę — — —

W i ó r e k.

Masz przyjaciół wiernych w nas:
W chęciach skory,
Potrzebne ci ja przybory
Przyniósłbym na miejsce, tu —
Pomógłbym ci, lecz nie mogę:
Choć to była rzecz podniosła,
Nie uprawiam już rzemiosła...
Co?... znużonyś, pragniesz snu?...

Marchołt.

Nie! Nie pragnę!... Sypiam w nocy!
A do nocy jeszcze chyba
Czasu dużo... Jako ryba,
Co ma wodę
Świeżą, zdrową,
Czuję jeszcze kości młode,
Pełne mocy!...
Z jasną głową,
Świadom jestem swoich kroków...
Jakichś dwoje zawołoków
Uśpić mnie tu nie wydoła...
Idź pan sobie z swoją radą!...
Nie potrzebny mi jest zgoła
Żaden sen!...
Jeszcze mi nie ciąży skroń...

Wiórkowa.

Nie mówiłam, że gromadą
Trzeba było przybyć poń?
Że gromada swą wymową
Zrobi więcej?...
Ale jak się zwykło dziać,
Ten wymawia się i ten —
Ot, szczęśliwa nasza brać,
Nie chce jej się iść w jarzęcy
Poblask słońca...

Marchołt.

Słońce! Słońce!
Tralalala!... Tralalala!...

Wiórkowa.

Pan Popiołek się przechwala —

Wiórek.

I w tem znalazł swe obrońce —

Wiórkowa.

Że wszelaką mądrość swą
Wypowiedział już przed laty
I że ona dziś się iści
Śród tej chwały...
Pan Miechodmuch krzyknął rad:
„Niech tam inni w miechy dmą!“...
On już dziś, najoczywiściej,
Wielki pan jest... Ma swój świat!...

Wiórek *(z przekąsem).*

Pan Dratewka także wielki — —

Wiórkowa.

„Będziem mu tu“ — rzeknie — „radzi
I bez tego... Pantofelki
Rzecz jest godna, ale“, powie,
„Tacy króle Marchołtowie
Mogą do nas na bosaka
Fatygować się, bo taka
Niby skromność nie zawadzi“...
Organista piał: „Kumolu,
Ja wam nie chcę zadać bolu“ —

Wiórek.

Choć nie znany jest nam ból —

Wiórkowa.

— „Ale powiem słówko szczere:
Zaśpiewałbym „Miserere“,
Tylko, wiecie, zięć ten wasz
To jest niby — — —“

Wiórek.

Masz go, masz!
Szkalowanie prawie człecze —

Wiórkowa.

„A pozatem“ — tak mi rzecze —
„Wolę w nowym tym kościele
Śpiewać sobie Alleluja“ — — —
Kopidołek gębą miele,
Że jest niby od łopaty,
Ale dzisiaj już bogaty — —

Wiórek.

Widać, że go owies bodzie — —

Wiórkowa.

I że niby w swym zawodzie
Aż zanadto doznał nudy —
„Zresztą, mówię bez obłudy,
Będzie“ — rzecze — „sprawiedliwie,
Ażeby też młodsze ludy
Dorabiały się na niwie,
Która dała mnie te plony!“... — —

Wiórek.

I my także w tamte strony
Nie ruszyli bez dorobku...
Pracuj, pracuj do ostatka,
Wszelki chłopku!

Wiórkowa.

Wymówił się twój rodzony
I twa matka — — —

Marchołt.

Ojciec! matka!...

Wiórkowa.

Która jeszcze nie zna ciebie — — —

Wiórkowa.

„I tam słońce jest na niebie“ —
Powiedzieli — „niech se buja

Na słoneczku, pośród pól!
Po co mamy ciągnąć dziecię,
Gdy mu jasno jest na świecie,
A gdy ciemno, zmówi pacierz,
Sam się zjawi — — —
Niech mu Pan Bóg błogosławi!“...
Takci rzekli ojciec, macierz...
A zaś stary, dawny król — — —
Dziś tu u was królem pono
Jest pan Radca — —

Wiórek.

Tak jest, żono — —

Marchołt.

Król?...

Wiórek.

Tak, król...

Wiórkowa.

Tak!... Pląsy — — — tany — —
Królu złoty, malowany — —
Grajcie, skrzypki —
Człek jest chybki — —
Płaci srebrem, płaci miedzią — — —
Król się zaśmiał, aż mu tył
Trząsł się cały i powiada:
„Dajcie mi tu tego gada!...
O, nareszcie na mą grzędę!...
Prosić ja go tu nie będę —
Gałgan był,
Niepoczciwe wielce plemię — —
Razem z jakąś tam gawiedzią
Szantamanty ściągnął ze mnie,
Ale będzie mi przyjemnie
Powitać go — — —“ Zaś szewcowa —

Wiórek.

Dratewkowa — — —

W i ó r k o w a *(szeptem).*

Usnął — — drzemie — —
Nie budźmy go — — — Niech wypocznie — —
Do widzenia!... A bezzwłocznie! — — —
(Znikają).

Głośne pukanie do zapartych drzwi... — Marchołt budzi się z gorączkowej drzemki. — — Nadsłuchuje. Za ścianą:

C h ó r b r a c i p o g r z e b o w y c h [1]) *(śpiew).*

Witamy cię, witamy,
Marchołcie ty nasz miły!
Otwórz na oścież swe bramy
Wpuść w dom swój woń — mogiły...

M a r c h o ł t.

Cóż cię tu, plemię nieboże,
Pod me zapędza ściany?
Ja bram swych nie otworzę,
Nie jestem wszak pijany...

P r z o d o w n i k c h ó r u i z a r a z e m C r u c i g e r *(uderzając krzyżem w drzwi).*

Pijany jesteś napojem
Wyzwalającej radości,
Że w przytulisku mojem
Raz już wypoczną twe kości...

M a r c h o ł t.

Co mi spoczynek!... Niech czarci!
Wina mi kielich przynieście!
Ci tylko dla mnie coś warci,
Co są, jak drożdże w cieście —
Co mają w sobie fermenty,
Rozsadzające światy!
W taniec rozpuśćcie swe pięty,
Stół mi zastawcie bogaty.

---

[1]) Cfr. akt I. „Chimera“.

Chór braci pogrzebowych *(śpiew).*

Biedni my świata pielgrzymi,
W cichej kroczymy żałobie,
Do spółki ze zmęczonymi
Ucztujem tylko na — grobie...

Przodownik chóru i zarazem Cruciger *(uderzając krzyżem w drzwi).*

Marchołcie ty nasz drogi,
Marchołcie ty nasz złoty — —

Marchołt.

A skądże wam, powsinogi,
Te poufałe pieszczoty?...
Paśliśmy razem świnie,
Że tak brat za brat ze mną?...

Przodownik chóru i zarazem Cruciger *(uderzając krzyżem w drzwi).*

Marchołta gniew przeminie,
Twarz on rozjaśni ciemną!
Marchołt ma duszę człowieka,
Marchołt nam rękę poda
I pójdzie już, gdzie go czeka
Pogoda i osłoda...

Marchołt.

Pogoda by się przydała,
Posępnie w izbie, jak w kadzi!
Mej wargi też — Bogu chwała —
Osłodzić nie zawadzi...
Spieczona jest ponad miarę
I w gardle również ściska...

Chór braci pogrzebowych *(śpiew).*

Świata my druhy stare,
Wysłańce przytuliska,

Niesiem ci słodycz mogiły,
Wilgoci wonne balsamy —
Otwórz, Marchołcie miły,
Witamy cię, witamy...

Przodownik Chóru — Cruciger *(uderza krzyżem w drzwi).*

A jeśli nas z własnej woli
Nie raczy wpuścić twa łaska,
Ręka ta nie zaboli,
Do cna twe zamki roztrzaska...
Patrz! nie ma takiej zapory,
Sprzeciwiać się jaknajgorzej!

(wywalając drzwi)

Nie chciałeś być dla nas skory,
My za to jesteśmy skorzy — — —

(wchodzą do izby)

Dzień dobry, Marchołcie luby — —

Marchołt.

Majaki! widma! straszydła!
Zwiastuny piekielnej zaguby,
Czerń sowiooka, obrzydła!...

Przodownik Chóru — Cruciger.

Nim zapalimy gromnice,
Nim weźmiem chorągwie w dłonie,
Chcieliśmy spojrzeć w twe lice — —

Marchołt.

Proszę, nie troszczcie się o nie!...

Przodownik Chóru — Cruciger.

Zanim staniemy u trumny,
Nim zabijemy jej wieko — —

Marchołt.

O chamie ty bezrozumny,
Do tego jeszcze daleko!...

Przodownik Chóru — Cruciger.

Nim kopczyk nad tobą stanie,
Zanim go bydło rozdepce,
Przyszliśmy na pożegnanie — —

Marchołt.

Żegnaj tak dzieci w kolebce!

Przodownik Chóru — Cruciger.

Staliśmy kiedyś u twojej — — —

Marchołt.

Przez was nie znałem matki!

Przodownik Chóru — Cruciger.

Wnet taka rana się goi...

Marchołt.

Zgińcie na drodze gładkiej!...

Przodownik Chóru — Cruciger *(intonując)*.

Biedniśmy świata pielgrzymi!
Niczem nam klątwy zgoła — — —

Chór braci pogrzebowych *(śpiew)*.

Z dobrymi w przyjaźni i złymi,
Kroczym, gdzie Dola nas woła — —
Od domu kroczym do domu,
Za nami śmierć się wlecze,
Nie czynim złego nikomu,
Spełniamy losy człowiecze!...
(Wychodzą powoli)

Marchołt.

Żarty! Żarty! cni panowie
Messjasze
W czarnej szacie!
Wy, co lica swe chowacie

W czarne worki,
Wstydzący się światła, słońca!...
Wasze paski i paciorki,
Wasze krzyże — — —
Gdzie też wasza chęć nie sięga!
Do Marchołta!!... Bardzo proszę!
Płone wasze dziś rozkosze,
Bo daleko mi do końca!
Nogi moje nie tak chyże,
By w te tropy
Biedz, nie wiada, gdzie, na wasze,
Śmieszne chłopy,
Nalegania i rozkazy,
A na głowie,
Która mocna jest i tęga,
Wytrzymała,
Jeszcze chodzić, Bogu chwała,
Nie umiałbym, chociażbyście
Ze sto razy
Obwieszczali
Swoje przyjście!...
Spokój tylko zakłócacie
W swojej chytrej złośliwości...
Takich gości
Wyrzuca się het! za próg,
Woła się im: „precz!... precz! precz!...
Nie potrzeba,
Abyście się rozpierali,
Gdzie dla żywych kwitnie świat"...

(Siada do stołu z papierami i bierze pióro do ręki: — pisze)

Ano dalej — —
Poprobujmy skończyć rzecz — —
Próba frei!... O, walna próba!...
„Potem zmorzył sen Jakóba
I zdało się patryarsze —
Piszą o tem conajstarsze
W świecie księgi —,
Że do nieba

Po drabinie
Lazł — — — lazł — — lazł — —
Czy zwycięży? — — czy też zginie? — — — —
Lazły za nim złe potęgi,
Bowiem w czas,
Kiedy dotarł pod sam szczyt,
Opuścił go wszelki spryt —
Nieopatrzył się i spadł
I siedzisko sobie stłukł — — —
Biedny żyd!... Biedny żyd!...
Ale potem — — — Lasy! łęgi!...
Rzeki!... zdroje!...
O jesienne liście moje — — —!
Wierch śnieżysty, w skrach się żarzy — — —
Słońce!... Słońce!... Tralalala!...
Zorza gdzieś się już dopala — —
Jak szeroka, jak głęboka
Oceanów wrząca fala
Płonie — płonie — — —
Mórz powłoka
Rozlewa się,
Aby — — zgasnąć!... Ale potem — — —
Przebrała się losów miarka — —
Siadywałeś pan na tronie — —
Chciałeś spełnić wielki czyn — —
Dziś zeszedłeś na pisarka,
Na łup belfrów i wzmiankarzy —
Ty psi syn! — Ty psi syn!...

(pisze dalej)

„Ale potem tak się zdarzy — — —"
Prawda! prawda!... O niedoli
Rzecz poczęta... — ktoś ją skończy — —
Pierwszy lepszy chyba człek —,

(z rozpaczą)

Nie Marchołta na to stać!...

(Pisze dalej)

„Potem — — Anioł za nim zbiegł,
Niepotrzebny w niebie gość,
I, jak gończy,
Odrazu się rzucił nań — —

(dusząc się)

Chwycił zwierzę o, za krtań — — —
Wadź się ze mną, wadź się, wadź —
Mnie to całkiem już nie boli — — —
Nie tak! Nie tak!... Nie!... Za bary
Wziął od razu się z Jakóbem
I biedził się z nim do zorzy — —
Wytrącił mu z biodra kość!...
Ale Marchołt — stary — jary —
W cielsku grubem
Sił ma dość — —
Zbierze siły co najlepsze,
Jak sękaty dąb się zeprze,
Rad się zmierzy — — — z Panem Bogiem
I Anioła — — hu! — — — położy!...
Panie Anioł! — Pan za progiem! — — —
Kto tam znowu?...

(Wchodzi)

Gospodyni Marchołta.

Marianna...

Marchołt.

Dzisiaj matka, wczoraj panna —
Teść nieprawy, kłamny zięć...
Taka to jest rzeczy kolej
Nieustanna!...
Pięć ich było głupich — | ile
Mądrych?... Pono także pięć!...
Masz-że panna w lampie olej — — —?
Jeśli-ć wyszedł, to go dolej — —
Bo się coraz ciemniej czyni,
Niby w ciasnej, ciemnej skrzyni...

Gospodyni Marchołta.

Nie dziwota... Mamy chwilę
Dosyć późną... Zorza gaśnie — —
Przyszłam właśnie,
By zaścielić panu łóżko...

Marchołt.

Hej! dziewuszko!...
Pokaż-że mi białą nóżkę — —
Pokaż-że mi i kolanka — —

(Podchodzi niby z zalecankami do gospodyni).

Mam dziewuszkę — — — —
A z dziewuszką na poduszkę — —
Pod pierzynkę — — i amory — —
Od wieczora do poranka
Od poranka — —

Gospodyni Marchołta *(odpychając go).*

Też zachcianka!...

(Przyglądając mu się bliżej).

Pan jest bardzo — bardzo chory — — —
Tak się panu świecą oczy — —

(do siebie)

Nie myślałam, że tak skory
Będzie koniec... *(Głośno)* O, tej pory
Marianna w lot wyskoczy
Po doktory — — —
Kładź się, panie, kładź do łóżka!...

Marchołt.

Hej!... dziewuszka!...

(próbując śpiewać)

Fischerin, du kleene,
Lass mich net alleene — — —

A gdzie syn twój?... Gdzie twe chłopię?...
Jest na tropie
Innych spraw — — — — ?
Weźmie, mówisz, rzekę wpław?...

Gospodyni Marchołta *(kończąc zaścielanie łóżka).*
Śpi już... Śpi!... Śpi!... Kładź się, panie!... —
Niech cię Pańskie zmiłowanie — — —
A ja biegnę po lekarza — — —
(Znika).

Marchołt.
Adieu!... Addio!... Co za wraża
Zmora znowu — — —?
(Do izby wślizguje się żebrak).

Żebrak[1]).
Hahahaha!...
Jak kobyła tak się stracha,
Nogą wierzga, zadem kręci — — —

Marchołt *(Z olbrzymim wysiłkiem).*
Pomagajcie wszyscy święci — — —!
(chwyta żebraka za bary, chcąc go wyrzucić z izby).

Żebrak *(wywijając mu się z rąk, jak w części drugiej poematu).*
Hola! Hola!...

Marchołt.
Hola!? Hola!?...
Jużem-ci ja słyszał gdzieś — — —
Zrozumie to każdy Grześ — — —
Aha!... wiem już!... pośród pola — —
Nie! Wśród lasu — —
Tego czasu,
Gdym przy krzaku dzikiej róży
Wdepnął — — w świat — —
W glon — tak duży —
W takie błoto, że aż strach! — —

---

1) Cfr. akt I. „Chimera“.

Żebrak.

Tyś mi brat, ja ci brat —
Daj mi grosz lub półgrosz, bratku,
Zaśpiewam ci na ostatku
Tak od biedy — —

Marchołt.

Jako wtedy
W gąszczach, krzach
Wyglądałeś mi — —

Żebrak.

O, tak!

(zmienia się w Fauna-Pana).

Marchołt *(w największem przerażeniu).*

Jezu Chryste!...

Faun-Pan.

Uspokój się... Ja nikomu
Nigdy żadnych krzywd nie robię...
Zjawiłem się w twoim domu,
Ot tak sobie
Po przyjaźni...
Któżby kiedy rzekł, żem zły?
Sprawy czyste
Mam na myśli —
Wyprowadzić chcę cię z kaźni,
Na powietrze.

Marchołt.

Ci, co wyśli
Stąd przed chwilą, czy w tej chwili,
Też nie chcieli ze mną wojny —
Najwyraźniej
Tak-ci samo do mnie pili,
Jak i ty!

Lecz ja jestem
Już spokojny —
Nie przerażę się szelestem,
Który, zda się, już doprawdy
Płynie stamtąd...

Faun-Pan.

Chwali ci się
Twoje męstwo — — — aleć zawdy — — —

Marchołt.

Jakie „zawdy“?... Panie święty,
Widzę, lisie
Masz wykręty,
Jeno mnie to nie wytrąci
Z równowagi!... Różne są-ci
Tu przysłowia, przypowieści
I sentencye i zasady,
Lecz największą prawdę mieści
W swojej treści —
Po świecie to hasło nieś,
Zrozumie je każdy Grześ —
Ta, co mówi, że, chcąc bladej
Zbyć się trwogi,
Trza na rozum wszystko brać...
Ja ten rozum wreszcie mam...
Fiu! mój panie! tu czy tam!
Ja dziś gram
Na to wszystko — na swej dudce
Gram wierzbowej...
Strachu mi to nie napędza
Do tej głowy,
Która wie, co znój i nędza:
Niczem już się dziś nie trwożę,
Nie lękam się żadnych zmian —
Wiadro, beczka, stągiew, kadź,
Czy jak wy to nazywacie,
W rezultacie

Są to nazwy jednej rzeczy:
Któż zaprzeczy,
Że je wspólne łączy znamię,
Że dno każda ma i ściany,
Że ma każda otwór swój —
Taki on jest, czy owaki,
Mniejszy, większy,
Poszczególne to oznaki —
Może być ich cały rój, —
Które jednak ich istoty
Nie zmieniają... Ta je może
I upiększy,
Ta pobrzydzi, — w rzeczy samej
Jeden z nich pożytek mamy...
To jest rozum, co nie kłamie,
Nie zawodzi... Panie złoty,
Podaj ramię!...
Nie ociągaj się, mój drogi,
Mój kochany —
Tamte, widzisz, powsinogi
Poszły sobie — —
Biesiadować — fiu! — na grobie!...
Wyrzuciłem ich za progi —
Nie mnie pchać się do hołoty!...
Juścić jesteś wielki pan,
Lecz i ja nie żaden cham,
Mógłbym niemal rzec, iż, Boże,
Bywam Tobie równy...

Faun-Pan.

Służę,
Służę Waści...

Marchołt.

Z tego wnoszę,
Panie bracie,
Że to twoje „zawdy“, panie.
To jest tylko kruczek, słanie

Nędznych strachów na człowieka,
Który, panie, jeśli trzeba,
Czy do piekieł, czy do nieba,
Na męczarnie, czy rozkosze,
Ani czeka, ani zwleka
Jako mydłki, jako tchórze,
Jeno sobie w drogę rusza,
Jak mu każe mężna dusza —
Jeno sobie w pole bieży
Bez ryngrafów i szkaplerzy,
Bosy, nagi
W ciała bieli,
Jako ongi, gdy z pościeli
Wstał usłanej, gdzieś w łożnicy
Universum — gołolicy,
Jako ty, mój gościu miły,
Ufny tylko w własne siły,
W moc swej głowy,
Bez szyszaków, bez pancerzy —
Nie! w żelezie
Ruszam ci ja w nowy bój,
Lecz w żelezie mej odwagi!...
Tak, czy nie tak?... Jak pan mniema?
Jaki pan ma o tem sąd?
Jako mój,
Czy też inny?... Nie, skąp słów...
Jaka na to jest dilemma
Twa odpowiedź?... Oho!... Fura,
Fura, widać, nie uwiezie
Twego, panie, dziś języka,
Taki ciężki... Mów-że! mów!...
Niechże mi się nie wymyka
Wasza miłość... chcesz dać nura?
O, nie puszczę!...
Zali, panie,
Me pytanie
Jakiś mąt
Dziś zamąca,
Że nie godne odpowiedzi?

Czy za mało błagająca
Jest ma dusza? O, sąsiedzi
Wiedzą dobrze, jak kto siedzi!
Panie Boże,
Zabobonną miałem cześć
Dla wszechmocnej Twej Osoby —
Może nawet miłość — — może,
Ale w zbytniej się pokorze,
Co napełnia sianem żłoby
Ludzkich trzód,
Jam nie słaniał — nawet sądzę,
Że wrzeciądze
Swych pałaców, zamków Swych
Rad zamykasz przed lokajem,
Strojnym w ten mizerny szych — —
Więc i dzisiaj, jako wprzód,
Siły moje mierząc wzajem
Z Twemi siły,
Czując, jakom dawniej czuł,
Snać się jeszcze mogę wznieść
Nad widomy mrok mogiły,
Nad ten dół,
Nad ten wązki, płytki rów,
W tej widomej dla mnie ziemi
Dłońmi, jako ma, ludzkiemi
Wykopany,
Nad tej trumny ciasne ściany,
I pytam się raz ostatni:
Co? jak? gdzie? Czy koniec ze mną? —
Czy do nowej jakiejś matni,
W jakąś straszną przepaść ciemną — — — ?
Czy zaśpiewam — Słońce! Trala?...
Daj mi wieść,
Bo w tej mroczy — — —
Milczysz?... Milczysz?... Spojrz mi w oczy...
Nie przystoi-ć milczka rola — — —

Faun-Pan *(lekko próbuje uwolnić się od jego ramienia).*

M a r c h o ł t.

Nie odsuwaj się, bom wart
Nie takiego, jak ty drwala — — —
Przed chwileczką z samym Bogiem — — —
A ty kto?... No, mówże — — Kto ty?...
Co za bies ty? Co za czart?...
Bo kułakiem ci pod biodro!...

F a u n - P a n.

Hola! Hola!
Nie tak hojnie, nie tak szczodro!

M a r c h o ł t *(rzuca się na niego).*

Czarcie, biesie!
Zmagaj-że się!...
Ciemny las,
A w tym lesie,
Pod tym głogiem,
Pod tym krzakiem dzikiej róży — — —

F a u n - P a n.

Ano niechże panu służy — —
Nadszedł czas — —
(ciosem śmiertelnym powala go o ziemię.)
Nie wiele mam do roboty — —

M a r c h o ł t *(padając na ziemię).*

Kto mnie zmógł?...
Bóg! Sam Bóg...
(umiera).

(Z znachorem i kilkoma ludźmi wchodzi)

M a r i a n n a *(gospodyni Marchołta).*

Bóg... Sam Bóg... — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jan Kasprowicz.

Notatki.

Wiele już pisano o doniosłości uchwał krakowskich z dnia 28. i 29. maja. Znaczenie ich jest tak jasne, że szkoda tracić długie na ten temat debaty. Są coprawda tacy, którzy każdy akt polityczny mierzą jego namacalnymi skutkami, a zakreślając swym myślom bardzo ciasne koło, zechcą szukać pozytywnych skutków na najbliższym terenie dla nich jedynie zrozumiałym. Tych wszystkich wystąpienia kół polskich napełniało obawą, a nawet trwogą: co powie Wiedeń na to? Polacy gotowi stracić dobrą opinię w oczach „*Neue Freie Presse*", narazić się na przykre podejrzenia.

Jeżeli ktoś swój wzrok stale kieruje poza granice swojej własnej ziemi i uparcie patrzy w kierunku południowo-zachodnim od Krakowa, ten istotnie gotów wątpić o polskim rozumie politycznym i gotów popaść w czarną rozpacz z powodu losów omal że nie wyodrębnionej Galicyi. Ale takich ludzi jest garstka, natomiast ludność polska w Galicyi z coraz silniejszą tęsknotą patrzy na północ i północny zachód, więcej myśli o Poznaniu i Gdańsku, Warszawie i Wilnie, niźli o innych stolicach. A z ogólno-polskiego punktu widzenia uchwały krakowskie już dzisiaj mogą się wykazać bardzo realnymi i uchwytnymi skutkami.

Uchwały te domagają się zjednoczenia ziem polskich w niepodległe państwo. Osiągnięcie tego celu zależy od wyniku wojny, a w małym stopniu od nas samych. Ale te uchwały dokonały już jednej, bardzo ważnej rzeczy: zjednoczenia duchowego Polski i są wybitnem świadectwem jej duchowej niepodległości. W ciągu wojny usiłowano, nieraz ze skutkiem, różne części naszego narodu zaprządz do obcych rydwanów. Uchroniła się od tego ogromna większość narodu, ale w każdym razie bolesnym i złowróżebnym

był rozłam między większością a mniejszością. Dzisiaj nastąpiło wyrównanie tych antagonizmów, i to wyrównanie nie na podstawie jakiegoś kruchego kompromisu, lecz na gruncie wspólnych idei, wspólnego wewnętrznego przekonania.

Warto było czytać pisma wielkopolski, by uświadomić sobie, z jakim entuzyazmem, z jaką radością przyjął tamten zabór zmianę opinii w Galicyi. Widać było, że prysły lody, które silnym wałem stanęły w ciągu wojny między dwoma dzielnicami Polski. Podobnie całe Królestwo Polskie wyczekiwało z wielkiem naprężeniem decyzyi krakowskich, a gdy one zwróciły się w kierunku, w którym szła dotąd ta dzielnica, zapanowała wśród niej żywa radość, radość hamowana zresztą na zewnątrz, gdyż swoim uczuciom i przekonaniom nie może tamtejsza prasa dawać nieskrępowanego wyrazu. Nieraz przedtem trapiły nas obawy, że pokój zastanie nas nieprzygotowanych do wspólnej pracy, poróżnionych na tle dzielnicowego antagonizmu. Ostatnie wypadki usuwają w znacznej mierze tę troskę i stanowią ważne przygotowania moralne naszego społeczeństwa do przyszłej pracy w zjednoczonej Polsce.

Galicya wysunęła szeroki program w sprawie polskiej i dobrze się stało, że to zrobiła Galicya. Można nie wchodzić już w rozpamiętywanie przeszłości, ale trzeba bez wahania przyznać, że z punktu widzenia ogólno-narodowej polityki wiele błędów w Galicyi miało swoje źródło. Tutaj wysunęli się na widownię politycy, chcący w stosunku do innych dzielnic odgrywać rolę dyktatorów. Tutaj zorganizowały się stronnictwa, które przypisały sobie prawo przemawiania w imieniu całej Polski i to w dodatku na podstawie bardzo ciasnego programu, rezygnującego z innych, odwiecznych siedzib narodu. Z Galicyi padały pod adresem pozostałych dzielnic Polski najbardziej ciężkie i drażniące zarzuty; ludzie wątpliwej moralnej i politycznej wartości stanowili tu trybunał, wydający patenty na patryotyzm polski, a czasem wygrażali szubienicą politykom reprezentującym opinię innych zaborów. Za to wszystko niepodobna było winić całego społeczeństwa w Galicyi, ale w każdym razie dobrze się stało, że sama opinia polska w Galicyi wydała niedwuznaczny sąd o tych stronnictwach, metodach i ludziach.

Uchwały krakowskie są ciężkim ciosem dla importu dawnej polityki galicyjskiej do Królestwa Polskiego. Zorganizowała się

w niem grupka ludzi, którzy nauczyli się patrzeć na sprawę polską jako na sprawę jednego tylko zaboru. Przyjęli oni w swych działaniach politycznych narzuconą terminologię, według której Królestwo Polskie (nawet trochę poobcinane) to cała „*Polen*“ i posłusznie grali komedyę polskich przedstawicieli w tych wyznaczonych im z góry szrankach. Gdy ktoś występował przeciw nim z zarzutem, zasłaniali się autorytem galicyjskiej mądrości politycznej i galicyjskiej zgody. Dzisiaj w oczach różnych „Głosów“ i „Gońców“ warszawskich Galicya jest Abderą polityczną, w której rządzi „ulica“. Zrozumiałem jest zawód tych politycznych żywiołów, czują oni, że tracą ostatnie oparcie, jakiem jeszcze dotychczas mogli się posługiwać. Pozostaje im tylko jeden punkt oparcia, już czysto zewnętrznego pochodzenia. I w tem też tkwi wielka doniosłość uchwał krakowskich, że poprowadziły one ostrą linię demarkacyjną między hasłami politycznemi, które wyznaje cały naród, a hasłami narzuconemi, które wśród niego znajdują nielicznych tylko, choć bardzo natarczywych i pretensyonalnych adwokatów. *J.*

* * *

W obradach Koła Sejmowego zapomniano o kwestyi bardzo przykrej, mianowicie o likwidacyi N. K. N-nu. Widocznie nie chciano psuć nastroju sprawą cokolwiek mniej doniosłą. I nie nastawało też na to prezydyum N. K. N. i dopiero w parę dni po ukończeniu obrad, wiceprezes tej instytucyi prof. W. L. Jaworski, upomniał się o zwołanie Koła Sejmowego, któreby wysłuchało sprawozdania rozwiązującej się instytucyi.

Sprawa ta jest przykrą nietylko ze względu na treść i kierunek działalności N. K. N. Chodzi tu jeszcze o metodę załatwiania spraw publicznych, o stosunek tej organizacyi do opinii publicznej. N. K. N. kończy wkrótce trzeci rok swojej działalności. Otóż przez ten cały czas odzywały się wezwania, by złożył on finansowe sprawozdanie z swojej działalności. Żądanie to wypowiadano także na Zjazdach instytucyi, bliskich N. K. N-owi. Zwykle na te postulaty przedstawiciele tego Komitetu odpowiadali wyniosłem milczeniem, od czasu do czasu tylko zjawiało się sprawozdanie Komisyi skontrującej, twierdzące, że wszystkie rachunki znajdują się w porządku i że wydatki poparte są kwitami. Sprawozdania te są bardzo lakoniczne i nie dotyczą całokształtu obro-

tów finansowych, których dokonał N. K. N. Gdybyśmy nawet otrzymali takie sprawozdanie z wszystkich dochodów i wydatków N. K. N. za całe trzechlecie, to ono bynajmniej nie zadośćuczyniłoby postulatowi kontroli, której domaga się opinia publiczna.

Mało jeszcze mówi stwierdzenie, że w kasie N. K. N-nu znajdują się pokwitowania z wszystkich wydatków tej instytucyi. Tego rodzaju kontrola jest kontrolą czysto buchalteryjną, bierze pod uwagę jeden tylko moment — natury kasowej. Społeczeństwo polskie w Galicyi, które z początkiem wojny objawiło dużą ofiarność na cele legionów, oczekuje bardziej szczegółowego sprawozdania. Domagać się należy, by to sprawozdanie odpowiedziało dokładnie i wyraźnie na następujące pytania: 1) z jakich źródeł płynęły finanse, któremi rozporządzał N. K. N.; 2) jakie było przeznaczenie tych pieniędzy według woli ofiarodawców; 3) czy te pieniądze zostały w całej pełni zużyte zgodnie z tą wolą; 4) na jakie cele obrócono fundusze, które nie miały specyalnego przeznaczenia. Chodzi bowiem o to, by wyświetlić w jakim czasie i w jakim stopniu działalność N. K. N. opierała się na funduszach złożonych drogą składek, a w jakim stopniu na innych finansowych sukursach. Następnie bardzo wielu ludzi dawało pieniądze z wyraźnym celem: „na legiony“, „na opiekę nad legionistami“; N. K. N. w swoim własnym interesie powinien usunąć podejrzenie, że te pieniędze obracano na bardziej cywilne cele. W końcu społeczeństwo chciałoby się przyjrzeć słuszności i celowości wydatków, robionych przez N. K. N. Działalność różnych biur prasowych, wydawanie różnych pism w Królestwie i rozmaite wyjazdy dyplomatyczne nasuwają pod tym względem poważne wątpliwości.

Społeczeństwo ma prawo do tego, by poznać cały stan rzeczy. N. K. N. jest w każdym razie instytucyą, zobowiązaną do publicznego składania rachunków. Małe stowarzyszenia kredytowe muszą co roku ogłaszać swoje szczegółowe sprawozdania, naczelne władze państwowe podlegają ścisłej kontroli co do wykonania budżetu państwowego. Jeden tylko N. K. N., który pozował dość długo na rząd narodowy, pod tym jednym względem nie chciał się upodobnić do rządu, że nie ogłaszał swoich zamknięć rachunkowych. Obecnie wiceprezes N. K. N. prosi prezesa Koła polskiego o zwołanie Koła Sejmowego, któreby wysłuchało sprawozdania z działalności N. K. N. Nie wspomina jednak w swojem

piśmie, czy szczegółowe sprawozdanie z trzechletniej działalności N. K. N., zaopatrzone w zamknięcie rachunków, jest już oddane do druku, tak, że członkowie Koła Sejmowego będą mieli w rękach dokładny materyał sprawozdawczy. Bez takiego materyału wszelka kontrola jest iluzoryczną; nie zastąpią jej elegijno-patryotyczne frazesy i czysto buchalteryjne sprawdzenie kwitów. Ludzie, kierujący rozbitą nawą N. K. N., powinni w swoim własnym interesie przygotować istotne sprawozdanie z swojej działalności. Jest to postulat, który nie potrzebuje specyalnego uzasadnienia. Nie chcemy rzucać żadnych podejrzeń, ale musimy zaznaczyć, że jeżeli się zwleka z tą sprawą, to się samemu tylko budzi te podejrzenia, zatruwające atmosferę naszego życia. Rzecz ta nie przejdzie w zapomnienie; a wyświetlenie jej w czasie późniejszym, w zmienionych warunkach, może być o wiele trudniejszem, za co jednak odpowiedzialność spadnie na stronnictwa, utrzymujące N. K. N. przy życiu i może mieć dla nich przykre następstwa.

* * *

Przed niedawnym czasem czytaliśmy wiadomości o tem, jak to w Sztokholmie zebrał się „Kongres polski“, obradujący nad najważniejszemi sprawami naszego bytu. Według doniesień gazet niemieckich mieli się tam zebrać przedstawiciele wszystkich dzielnic Polski, reprezentujący różne warstwy społeczne. Wiadomość brzmiała senzacyjnie, okazała się jednak zwyczajną kaczką dziennikarską. W Sztokholmie odbywają się rozmaite zjazdy pokojowo-socyalistyczne i wiadomo było, że na taki zjazd wyjechali z Warszawy p. B. Ronikier, p. Kunowski i W. hr. Roztworowski, dwaj ostatni członkowie tymczasowej Rady Stanu. Z drugiej strony przybyło do Sztokholmu kilku polityków polskich z Rosyi, między innemi gen. Babiański. Nie było więc zjazdu przedstawicieli wszystkich dzielnic Polski, gdyż gen. Babiański z Bessarabii za takiego przedstawiciela nie może uchodzić, a zaś p. Rostworowski etc. reprezentują instytucyę, która z każdym dniem coraz bardziej staje się przedstawicielstwem w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, *in partibus infidelium*.

O uchwałach tego zjazdu niceśmy nie słyszeli, natomiast p. Babiański dał się zinterwiewować przedstawicielowi *„Az Estu“*. Niewiadomo, ile w tem interwiewie jest fantazyi węgiersko-żydow-

skiego dziennikarza, a ile prawdy, tak rzadkiej w czasach wojennych. Ale w każdym razie nie doszły nas zaprzeczenia tych wiadomości, ani też nikt z uczestników tego zjazdu nie podał innych wyników — musimy więc wziąść za podstawę to, co według „*Az Estu*“ mówi gen. Babiański.

Zarzucił on najpierw Polakom z Galicyi i z pod panowania pruskiego oportunizm w sprawie polskiej. Niewiadomo, na jakich podstawach oparł on swoje zdanie, w każdym razie nikt dotychczas nie zestawiał razem polityki galicyjskiej i polityki z pod panowania pruskiego w przeciwstawieniu do polityki trzeciej dzielnicy. Poznańskie i Galicya, to były do niedawna dwa przeciwieństwa polityczne. Ileż razy z Galicyi padały pod adresem Poznańskiego zarzuty, że ono nie liczy się z rzeczywistością, że nie chce wejść na drogę ugody, to zn. na drogę polityki, którąby można nazwać oportunistyczną. Zarzucano tej dzielnicy, że przez swoje nieprzebłagane stanowisko w sprawie polskiej, które nie chce się godzić z koniecznościami historycznemi, rozdrażnia ona tylko żywioły niemieckie i uniemożliwia polsko-niemieckie pojednanie. W Galicyi zaś było i jest wiele oportunizmu, ale bądź co bądź w ostatnich czasach zachodzą bardo wybitne zmiany, wysuwa się program szerszy, do którego łatwa formułka gen. Babiańskiego bynajmniej stosować się nie może.

Ale jeżeli gen. Babiański idzie tak daleko w swoich zarzutach, to niewątpliwie sam powinien reprezentować bardzo stanowczy program w sprawie polskiej. Tymczasem w dalszych jego słowach brak jest wszelkiego radykalizmu, przeciwnie, widoczny jest właśnie daleko idący oportunizm. Niepodobna bowiem za coś innego uważać hasła wolnego portu Gdańska i neutralizacyi biegu Wisły. Jest to bowiem typowo kompromisowe stawianie kwestyi, które godzi sprzeczne dążenia i nie chce naruszać cudzych praw zwierzchniczych. Nawiasem mówiąc, jest to program bardzo mętny, gdyż niewiadomo, czem ma być Gdańsk — wolny port dla Polski. Zwykle przez wolność portu rozumie się wolność od cła dla towarów, przywożonych morzem, które potem znów tą samą drogą wracają, a nie wchodzą w głąb kraju. Jest tu widocznie jakieś nieporozumienie, albo nieznajomość zasadniczych pojęć z zakresu polityki handlowej. Mniejsza już o ten lub inny termin, to tylko jest jasnem, że gen. Babiański (według sprawozdania „*Az Estu*“) idzie niezbyt daleko w formułowaniu swych postulatów i ma jak

najmniejszy tytuł do tego, by mówić o oportunizmie innych dzielnic, których stanowiska politycznego zdaje się zupełnie nie zna.

Ale te poglądy są to poglądy p. Babiańskiego, a nie są zapatrywaniami prawdziwego polskiego przedstawicielstwa. Dzisiaj przy obcej pomocy łatwo jest zająć stanowisko, z którego przemawia się rzekomo w imieniu narodu. Znajdą się też wtedy tacy dziennikarze, którzy miłe dla siebie oświadczenie roztrąbią po świecie i szumnie je zatytułują. Ale to jeszcze nie jest głos polskiego społeczeństwa, które potrafi w odpowiedniej chwili przemówić i usunąć na bok różnych samozwańców. Społeczeństwo nasze wybaczy wiele rzeczy, wiele błędów politycznych daruje, ale nigdy nie daruje nikomu jednej rzeczy: kurczenia granic przyszłej Polski. Zajmują się tem już ci, w których interesie nie leży zbyt rozległe państwo polskie. Przykrą jest rzeczą, że w dzisiejszej chwili w pośród Polaków znajdują posłuszne narzędzia, wyręczające ich w tej roli.

* * *

Przez długi czas spodziewano się, że państwa neutralne ujmą w swoje ręce sprawę doprowadzenia do światowego pokoju. Tymczasem jednak zmniejsza się liczba tych państw neutralnych, a najpotężniejsze z nich, które najwięcej mówiło o pokoju, Unia amerykańska, idzie całą siłą pary w kierunku intenzywnego prowadzenia wojny. Liczono wiele na inicyatywę papieża, ale Ojciec Święty od dłuższego czasu milczy zupełnie w tej sprawie, jakgdyby się zraził poprzedniemi daremnemi próbami. Natomiast w ostatnich czasach na pierwszy plan w akcyi pokojowej wysunęli się socyaliści; te żywioły, które społecznie i politycznie są od socyalizmu międzynarodowego najdalsze, zapukały do jego przedstawicieli, by oni doprowadzili do rokowań pokojowych.

Z natury rzeczy każdy pośrednik nie ogranicza się do czysto biernej woli, lecz jeżeli się wogóle podejmuje pośrednictwa, to dlatego, że ma nadzieję przyczynić się do realizacyi haseł, przez siebie bronionych. Wobec tego zapytajmy się, jakie ideje wnosi socyalizm w sytuacyę międzynarodową, i o ile możemy po tym kierunku spodziewać się pomyślnego uregulowania sprawy polskiej.

Socyalizm dzisiaj jest rozbity, nie dojdziemy też do ustalenia jednolitego jego stanowiska. Ale z dotychczasowych miarodajnych wystąpień przedstawicieli socyalizmu możemy zdać sobie

sprawę z zasadniczych prądów, które wśród niego nurtują. Pod tym względem mamy już parę charakterystycznych przykładów. Oto sekretarz Międzynarodowego Biura Socyalistycznego, Huysmanss, miał oświadczyć według doniesień dzienników, że różnice zdań w kwestyi polskiej nie mogą stanowić przeszkody do zawarcia pokoju, gdyż postulaty polskie będą zaspokojone, jeżeli Polacy otrzymają autonomię narodową we wszystkich trzech dzielnicach. Wkrótce potem przyniosły dzienniki odezwę czy uchwałę, streszczającą stanowisko większości partyi socyalno-demokratycznej w Niemczech. Według niej ludność „*Polens*", to zn. Królestwa Polskiego ma zdecydować głosowaniem, czy chce być niezależną lub czy chce należeć do Niemiec lub Rosyi.

Widzimy tu w tych sformułowaniach przejawy ślepej doktryny socyalistycznej, która obojętną jest na istotne dążenia i potrzeby narodowe. Jest tu refleks dawnych idei kosmopolitycznych, które mówiły, że wszystko jedno, czy się żyje we własnem lub cudzem państwie, bo przecież wszędzie można i trzeba walczyć z kapitalizmem i dążyć do zdemokratyzowania ustroju. P. Huysmanss obdarza nas autonomią, którą mamy dostać aż w trzech dzielnicach polskich; a zaś socyalno-demokratyczna partya niemiecka jest tak liberalna, że każe nam decydować w drodze plebiscytu, czy chcemy należeć do Niemiec czy do Rosyi! I czegoż my więcej żądać możemy?

Ale jest różnica między stanowiskiem Huysmanssa a stanowiskiem niemieckiej socyalnej demokracyi. Pierwszy traktuje na równi sprawę wszystkich dzielnic Polski, daje im bardzo skromne obietnice, ale ostatecznie uznaje istnienie kwestyi polskiej pod różnemi panowaniami. Tymczasem socyalno-demokratyczna partya porusza sprawę polską tylko co do Królestwa Polskiego, milczy o dwóch innych dzielnicach. A ten punkt widzenia nie jest już wypływem doktryny socyalistycznej, lecz przejawem pierwiastków nacyonalistycznych, tak silnych w socyalizmie niemieckim.

Toteż nie możemy spodziewać się wiele po socyalizmie jako inicyatorze pokoju światowego, pokoju opartego na trwałych podstawach, a tem samem zrywającego stanowczo z dziełem rozbiorów Polski. Z jednej strony mamy tam ckliwy pacyfizm, który ubolewa nad przelewaną krwią, i aby ten rozlew krwi doprowadzić do końca, gotów jest milczeć o wiekowych krzywdach, gotów jest przejść do porządku dziennego nad żądaniem, by sprawa

polska została załatwiona w całej rozciągłości. Niechaj cierpią dalej zdeptane dotąd narody, niech zadowolą się pięknymi frazesami, byle raz nastał pokój. Zamiast ich dążenia zaspokoić w sposób zgodny z ich potrzebami, ofiaruje się im różne doktrynerskie półśrodki, różne autonomie narodowe i tym podobne papierowe pomysły. Ale z drugiej strony występują tu silnie i inne dążenia. Socyalizm w różnych krajach przejmuje się hasłami wojennemi swoich krajów i nawet staje się ich gorliwym propagatorem, stara się tylko ubrać je we frazeologię międzynarodową.

Toteż niema nadziei, by te żywioły przyniosły ludziom trwały pokój, w szczególności zaś, by wniosły nowe, dodatnie pierwiastki w sformułowanie sprawy polskiej. Doktryna pacyfistyczna jest zbyt daleką od życia, by mogła rozstrzygać skutecznie problemy, które to życie wysuwa. W najlepszym razie mogłaby doprowadzić do pokoju, równającego się zawieszeniu broni. A zaś przeważające dzisiaj wśród socyalizmu prądy, które przejmują się celami wojennymi różnych narodów, wysuwają dążenia życiowe, realne, ale sprzeczne wzajemnie z sobą. Decyzya o tych dążeniach nie zapadnie teraz na konferencyach międzynarodowych, lecz będzie się zwolna urabiała w wojnie, toczonej na froncie i poza frontami. Okaże się łatwo, że wspólność celów wojennych socyalistycznych dotyczy tylko zewnętrznych ich sformułowań. Pod szatą słów dość harmonijnie brzmiących kryją się dzisiaj jeszcze nie przebyte antagonizmy.

Toteż nie mamy powodów, by spodziewać się, że pokój przyjdzie do nas z obecnych konferencyi w Sztokholmie. Konferencye socyalistyczne nie wydadzą tego rezultatu, bez bezpośredniego skutku będą obradowali Troelstra, Branting, Stauning, Adler, Renner, Seitz i przedstawiciele istinnoruskich socyalistów-pacyfistów Lenina *false* Goldberga i Stiekłowa *false* Glassa. Nie pomogą nawet delegaci Tymczasowej Rady Stanu z Warszawy i Dr. Diamand ze Lwowa.

*
* *

Na co jest potrzebna Tymczasowa Rada Stanu? Na to pytanie odpowiadano bardzo rozmaicie. Uzasadniano jej istnienie bardzo odmiennymi sposobami. Z nowymi argumentami wystąpił warszawski korespondent „Czasu". Pisze on dosłownie w numerze sobotnim z dnia 9. czerwca b. r.: „Wiadomości, dochodzące do Warszawy z zagranicy — ze źródeł godnych zaufania — wzmo-

cniły w ostatnich dniach poczucie, że Radę Stanu należy utrzymać wbrew usiłowaniom, o których pisaliście, wzywającym do jej „rozejścia się“. Opinia w krajach koalicyi śledzi z bacznością walkę Rady Stanu o rozszerzenie jej kompetencyi, wychodzi bowiem z założenia, że jest ona legalnym rządem polskim i że odegra dużą rolę przy zawieraniu pokoju. Kwestyą rozszerzenia kompetencyi Rady Stanu interesują się w wysokim stopniu zwłaszcza koła pacyfistyczne w Anglii, grupujące się koło Asquitha, gdyż utworzenie państwa polskiego należy do argumentów, któremi się te koła często posługują. Byłoby to (co? chyba upadek Rady Stanu) wytrącaniem im jednego atuta z ręku“.

A więc według tych wiadomości interesuje się opinia koalicyi sprawą polską. Przez trzy lata czytaliśmy bez ustanku na łamach „Czasu“ i pokrewnych pism wywody o obojętności koalicyi na tę sprawę. Co prawda ta opinia w krajach koalicyi w bardzo dziwny sposób przejawia swoje zainteresowanie sprawą polską: oto kieruje je ku Radzie Stanu, powołanej do życia nie przez swoich przyjaciół, uznaje ją za legalny rząd Polski i przeznacza jej specyalne funkcye przy zawieraniu pokoju. Co prawda nie czytaliśmy o tem nigdzie, nie przytoczono nam głosów prasy koalicyjnej, swobodnie zwykle wypowiadającej swoje zdanie, ale widocznie są to głębokie tajemnice dyplomatyczne, które posiadł korespondent „Czasu“ i inne osoby, godne zaufania. Co więcej, ta opinia koalicyjna widzi rzeczy, których w kraju nie widać; widzi „walkę“ Rady Stanu o rozszerzenie jej kompetencyi. Wiemy co prawda o staraniach i zabiegach Rady Stanu o rozszerzenie jej zakresu działania, a raczej o uzyskanie jakiegokolwiek zakresu działania; te starania jednak nie są nastrojone na zbytnio bojowy ton i zakrawa na eufemizm, jeżeli się je nazywa „walką“. Niema mowy o walce tam, gdzie cały stosunek oparty jest na zasadzie uległości.

W szczególności zaś Rada Stanu wywiera wielki wpływ w... Wielkiej Brytanii! Wzmacnia ona stanowisko Asquitha i dostarcza mu argumentów do jego propagandy pacyfistycznej. Co prawda Asquith zarówno za czasów swych rządów, jak i po ustąpieniu wypowiadał się w sposób wcale niepacyfistyczny. Ale widocznie istnienie Rady Stanu, a może jej jakaś akcya dyplomatyczna wywołała wpływ na zmianę przekonań byłego angielskiego premiera. Nie wchodźmy jednak w te tajniki, dla nas zakryte i przyznamy się, mało zrozumiałe. Konkluzya tego wszystkiego jest ta:

Radę Stanu należy utrzymać, gdyż jest ona potrzebna na eksport dla Asquitha i kół koło niego się grupujących i wogóle dla ewolucyi zapatrywań koalicyi w kierunku pacyfistycznym.

Niewiadomo, co należy bardziej podziwiać, czy manię wielkości domorosłych dyplomatów, czy śmiałość, z jaką się liczy na naiwność opinii w Królestwie Polskiem? *J.*

*
* *

Przed laty pięciu na ulicach Warszawy można było być świadkiem podobnych obrazków obyczajowych: oto przechodzień, którego zewnętrzne cechy znamionowały niewątpliwą przynależność do rasy kaukaskiej, ostrożnie oglądał wystawę sklepu. Towar okazowy zwrócił widocznie jego uwagę, może już nawet przechylił szalę na stronę decyzyi, niemniej jednak kandydat na posiadacza upragnionego utensylium zdradzał mocne zakłopotanie. *Sui generis esteta*, badał jakby piękno bocznych napisów, prawie że sylabizował tytuł firmy, poczem zapuszczał jeszcze wywiadowcze źrenice w wielkie lustrzane szyby, jakby chciał przebić wzrokiem wszelkie zasłony, oddzielające jego jaźń od samej istoty merkurowego ołtarza. I zdarzało się, że po po takiem nawet przygotowaniu samo uchylenie drzwi wystarczało mu przecież do powzięcia negatywnego wniosku. Odchodził, by kilkadziesiąt kroków dalej na innym objekcie rozpocząć swoje dziwaczne oględziny. Przyczyną tego znanego w Warszawie „badania terenu“ było, iż ówczesne stosunki, jakie zapanowały w erze t. zw. bojkotu nieswojskiego handlu, poleciły czujnym kupcom nadawać szyldom więcej poetyczne brzmienie. W ten sposób nad magazynem obuwia, który 15. listopada 1912 r. cieszył się pełnem mianem *Szyja Prywes*, 15. grudnia tegoż roku widniało w cudzysłowie międzyrasowe „Apolonia“ — i tak w kwartalnych odstępach przez „Lukrecyę“, „Omnibus“, „Taniość“, „Elegancyę“ przybijało do dwujęzycznego portu, wymownością przechodzącego wszystkie dotychczasowe: „Razprodaża — Wyprzedaż“.

System ów używany ongiś w Warszawie na polu handlowem, przejęły obecnie na własność użytkową różne koterye polityczne. Są między nimi i takie, które w ciągu trzechlecia szczęśliwie cztery i pięć razy zmieniały szyldy, licząc na łatwiejszy zbyt u pełno- i małoletniej klienteli. No, ale Warszawa pamięta chyba niedawne doświadczenia komercyjne i nie bierze zbyt do serca

odświeżanych reklam wystawowych. Zdarzy się pomylić ostrożnemu, to wystarczy mu choćby uchylenie drzwi zawoalowanego wnętrza.

To grupy, czy uprzejmiej mówiąc, stronnictwa. A co dołknęło ostatnie, przeszło i na ich twory myślowe, polityczne hasła, śmieszne terminy, których nie skąpiły sobie i nie sobie. Zaginął i ślad po przesławnych „oryentacyach“, a dziś towarzyszy im już po tamtej stronie Styksu owa para skleconych: miana i przezwiska, sztucznem oddychaniem do życia pobudzanych, „aktywizmu“ i „passywizmu“.

*
* *

Niedomaganiom aprowizacyjnym walczących państw, powstałym z rozmaitych powodów, towarzyszą raz wraz objawy samoobrony ze strony społeczeństw. Gdzie samobronę stanowić może sprawnie działająca organizacya, tam forma i zakres niedostatku tracą poniekąd swe dokuczliwe ostrze. Również do stępienia go służy wówczas świadomość sytuacyi ogólnej i chęć przyczynienia się do sprawy wszystkich obchodzącej drogą dobrowolnego ograniczenia potrzeb obywateli. Konieczne ujemne strony bywają rozumiane, a to rozumienie celu, aczkolwiek nie zastąpi zapewne mąki czy grochu, jest tylko podnietą do dalszych wspólnych wysiłków społeczeństw. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy oczu społeczeństwa uchodzą i arkana gospodarki aprowizacyjnej i celowość przymusowej pokuty. Nie dziw więc, że w podobnych warunkach na porządku dziennym pytania nienasyconych zamieniają się w kamień lub kij, które często gęsto godzą w kiepsko adresowane szyby.

W pismach warszawskich zaprowadzono, zda się, stałe już rubryki zajść na tle głodowem. Poczciwej radzie miejskiej Warszawy, która lubiała początkowo występować w roli swojskiego parlamentu, ludność warszawska przypisuje winę — i jak wiemy rada ta zastanawiała się nad rozwiązaniem, aby w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co nie leży w granicach jej ingerencyi. Krótka historya tej rady jest mocno pouczająca. I w niej padały bowiem słowa potępienia na „kartoflarzy“. W Warszawie, jak słychać, wszystkiego można dostać, ale po bajecznie wysokich cenach. Uprzywilejowani z rozmaitych względów mogą spokojnie wymieniać pewną ilość kolorowych papierów na produkty spożywcze, ogół zaś szeroki znajduje się w położeniu bez wyjścia.

Atakuje więc radę, która zrozumiała, jak trudną jest rzeczą odpowiadać za skutki, nie mając wpływu na przyczynę. Fikcyjność tych podstaw każe jej więc stwierdzić choćby swą niemoc. — I to co się dzieje w Warszawie, jest tylko częścią stanu, jaki ogarnia konsekwentnie całe połacie polskiej ziemi, jaki w Litwie szczerzy już dawniej ohydne zęby. I w kraju rolniczym, który pracował i pracuje na ziemi i pracy swej plony zawsze oglądał — trudniej zaiste niż w każdym innym będzie zrozumieć, dlaczego owoców własnego trudu braknie. Jest to tak samo niezrozumiałe, jak n. p. na Kaukazie lub w Kalifornii nie łatwo wytłómaczonoby tubylcom zalety oświetlania izb łuczywem, a już w każdym razie nie będzie przesadą, jeżeli powiemy, iż braku środków spożywczych nikt nie pokryje najpiękniej choćby brzmiącemi teoryami o tem, że społeczeństwo może gospodarzyć wedle swej woli i mieć wpływ na ustalanie monarchicznych czy republikańskich form rządu w niedalekiej przyszłości. Nie wielu też znajdzie się takich, którzyby chcieli przyczyniać się do stwarzania nowych fikcyi, do budowania pustego dźwięku, którego treść pozostaje conajwyżej znamionującym zaciekawienie znakiem pisarskim.

Nie może być również dla nikogo zbytnią pociechą, że gdzieś n. p. w Niemczech anonsuje się mięso z tłustych wron lub kawek, zaleca się przedsiębiorczości obywateli postępową hodowlę wróbli, placki z pyrzu, nie będzie nią i różnej wartości dyskusya o wytapianiu jadalnego tłuszczu z kości poległych, bo wprawdzie tam te kawki zapewne znikają w żołądkach, może już niejeden z wróbli postradał doczesny żywot — ale to nie uróżowi nam bodaj faktów na Litwie i w Koronie, wobec których tamte zawsze tylko charakter tragedyi kawkowej nosić będą.

W pędzących do środka Europy wagonach cysternowych widywano już, jak głosi fama, poczciwą, uhonorowaną w ten sposób pokrewieństwem z ropą pszenicę — w nasze strony, gdzie pociesza się głodnych futuralnym mirażem wyki i gdzie prawo obywatelstwa kuchennego zyskały słoma i padlina, gonią kłęby kolczastego drutu i paki strzelających zabawek. Osobliwa podróż wymienna.

Jeżeli ktoś choruje sporadycznie na branie odpowiedzialności za to, czego przyczyn nie zna i na co nie ma faktycznego wpływu, dobrze gdy czasem oprzytomnieje. Lepiej późno niż nigdy.

* * *

W ubiegłym miesiącu pomieścił *„Kuryer Poznański"* szereg fejletonów pióra Bernarda Chrzanowskiego, poświęconych polskiemu wybrzeżu. Charakterystykę ogólną, zasługującą zwłaszcza dzisiaj na jak najszersze rozpowszechnienie, zamyka autor wiele mówiącym szkicem o odnoszeniu się polskiej nauki do nadbrzeżnej Polski. W porównaniu z innemi naszej ziemi częściami, które w literaturze specyalnej znalazły źródłowe i obszerne uwzględnienie, wybrzeże nasze nie doczekało się dotychczas jednego nawet studyum. A brzeg „domaga się, żąda szczegółowego zajęcia się nim jako odrębną całością" i to przez wszystkie dziedziny: historyę, lingwistykę, archeologię, nauki przyrodnicze. Literatura nasza ogranicza się zaledwie do kilku raczej popularnych broszurek i cząstkowych opracowań, rozrzuconych w prasie peryodycznej. W Encyklopedyi Polskiej, wydawnictwie Akademii Umiejętności, o wybrzeżu polskiem znajdujemy kilkuwierszowe czasem wzmianki, z godnym wyjątkiem „Klimatologii" prof. E. Romera, gdzie wybrzeże uwzględniono szerzej.

Wyliczając we wnioskach cały szereg tematów, których opracowanie wprost narzucałoby się swoją koniecznością polskiemu warsztatowi naukowemu, kończy autor następującemi uwagami:

„Skąd te braki? Gdzie szukać ich powodu? Czyżby winić Prusy Królewskie? Towarzystwo Naukowe w Toruniu? Nie można! Uniewinnione i usprawiedliwione ono warunkami społecznemi. Nie mogą Prusy być dzisiaj znaczną bardzo siedzibą polskiej nauki. Nie mają one przecież nauczycieli ludowych ni gimnazyalnych, ni sędziów, ni urzędników jakichkolwiekbądź, wogóle żadnych sfer polskich, nie skazanych na walkę o byt i mogących dostarczyć w znaczniejszej mierze uczonych, czy też choćby tylko ludzi naukowo pracujących, a nie potrzebujących troszczyć się o chleb powszedni. Nie dostarczy ich rzeczywisty pan tej ziemi, lud; nie dostarczy grono obywateli ziemskich i księży: ci z nich, którzy gorąco czują, zużywają czas i siły, fizyczne i umysłowe, w społecznej pracy, obronnej. Towarzystwo Naukowe w Toruniu nie może więc z braku dostatecznej liczby ludzi — fachowych, przyrodników, geografów, historyków, lingwistów, archeologów, folklorystów — być silnie i żywo płonącem ogniskiem naukowej działalności, nie może tą co dopiero omówioną pracą naukową należycie się zająć i jej wykonać. Dużo ono robi już tem, co dziś robi i na uznanie pełne zasługuje: dziw, że tylu pracowników około siebie

gromadzi. — Wątpię też, aby „Gryf“ [1]) młodo-kaszubów — jaka szkoda, że nie wychodzi nadal — mógłby był tę lukę wypełnić: i jemu stałyby tu na przeszkodzie te same momenty, co Towarzystwu Naukowemu: chyba żeby je przezwyciężyła silna ideowość jednostek“.

„Inicyatywę do tej pracy mogłyby dać naprawdę tylko nasze siedliska uczonych, nasze uniwersytety: Kraków, Lwów a teraz Warszawa; ich profesorowie (Eugeniusz Romer!) gdyby przy omawianiu naukowych prac w seminaryach popchnęli młodzież w kierunku zachodu, ku morzu: Akademia Umiejętności, stojąca na straży naukowej łączności wszystkich ziem polskich, gdyby przy rozpisywaniu tematów na prace konkursowe przypomniała zachodnio-północne nadmorskie kresy. Warszawa, przekonani jesteśmy, że to uczyni: ona, ta dawna Warszawa, odznacza się dawno już żywem uczuciem wspólności; zajmował ją Cieszyn, zajęła się żywo i kaszubami. Uczeni jej nie zapomną bezwątpienia o tej prastarej, żywej a bezcennej, nadmorskiej, ukrainie“.

Należy życzyć, aby nadzieje te rychło się spełniły.

---

[1]) „Gryf“, miesięcznik młodo-kaszubów, wychodził do 1912 r. w Kościerzynie (niemieckie przezwisko Berenth) na Pomorzu kaszubskiem.

Sprawozdania.

D ę b i c k i Z d z i s ł a w. *Książka i człowiek.* Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa (1917). 8-ka mała; kł. nlb. 2, str. 119, kł. nlb. 1.

Historya książki jest długa, ciągnie się bowiem od pierwszych nakłuć na liściach i korze drzewnej, od pierwszych nacięć na kości, od sznurków meksykańskich na sznurach różnobarwnych, przez asyryjsko-babilońskie cegiełki z pismem klinowem, zwoje papirusów egipskich, grecko-rzymskie *„libri elephantini"*, tabliczki woskowane i pergaminy, ciągnie się przez wieki starożytne i przez całe średniowiecze z cudem jego naiwnie iluminowanych rękopisów klasztornych aż do wiekopomnego wynalazku Guttenberga, kiedy to słowo nabrało mocy łatwego przenoszenia się z miejsca na miejsce. A jednak tak niewiele wie się o tem u nas.

To też dobrze zrobił poeta, dzieląc się z ogółem szerszym warstw czytających wrażeniami, odniesionemi podczas lektury i przeglądania książek rozmaitych epok. W nadzwyczaj znajmujący sposób kreśli losy słynnych księgozbiorów, ba nawet losy niektórych książek, tych prawdziwych „towarzyszek człowieka". Dowie się stąd czytelnik wielu rzeczy zupełnie dla niego nowych, a więc: o tem, jak to artysta został ponownie pod koniec minionego stulecia powołany na współpracownika drukarza, a wielki przemysł drukarski zapragnął wznowić dawne tradycye „sztuki drukarskiej", o których zapomniał i które przestały go obowiązywać, i o odrodzeniu się typu „zbieracza", poszukującego rzadkich a pięknych druków, o facsimilowych wydaniach t. zw. „białych kruków", oraz o wielkich wydawnictwach ilustrowanych, które są poszukiwane, jako rozkosz estetyczna, jako swojego rodzaju przedmiot zbytku, po które skwapliwie wyciągają się ręce ludzi bogatych, a niepozbawionych smaku.

Nie zostały też tu pominięte losy ruchu wydawniczego polskiego. Walka z książką brzydką musi być jednym z zasadniczych postulutów estetycznych — powiada autor — najbliższej doby powojennej! Książka polska musi w tej dobie, idąc za głosem potrzeby ogólnej, jasno i wyraźnie określić swój typ, musi stać się książką polską nie tylko z treści, ale i z szaty swojej zewnętrznej.

Z werwą propaguje autor hasło wojny z „książkami dla nikogo" w postaci „powieści kinematografu" o bardzo nikłej lub żadnej wartości artystycznej, ale też z niemniejszą słusznością polemizuje z utworami o typowych cechach grafomanii, wydawanych „nakładem własnym", ku zaspokojeniu ambicyi osobistych przez druk rzeczy zgoła druku niegodnych. Miejsce ich winny zająć „książki dla

wszystkich", książki bądź istotnie piękne, bądź istotnie pożyteczne, które przeczytać trzeba, gdyż bez nich niepodobna zdobyć rzetelnej kultury umysłowej i artystycznej. Udostępnienie ich szerokiemu ogółowi czytelników stanowi jedno z naczelnych zadań kultury wydawniczej.

Po rozdziale o powstawaniu wielkich księgozbiorów przechodzimy do sprawy biblioteki domowej. Włączone do niej książki — podnosi słusznie autor — muszą mieć wartość nieprzemijającą, trwałą, aby mogły nam wystarczyć na rozmaite chwile życia, odpowiedzieć rozmaitym naszym usposobieniom, zaspokoić rozmaite nasze tęsknoty. Stąd umiejętność wyboru odgrywa rolę naczelną w formowaniu biblioteki domowej. Muszą to być książki przedewszystkiem takie, do których wraca się chętnie, jak wraca się wielokroć do Pisma świętego i arcydzieł na miarę „Iliady", „Pana Tadeusza" i „Fausta". A że książek takich niema nadmiaru, przeto bez wielkiego trudu i kosztów mogą one być zgromadzone w każdej bibliotece domowej, o ile tylko będą zawsze w obiegu w tanich, dostępnych wydaniach. Obok tych książek w bibliotece domowej znaleźć musi uwzględnienie ta przedewszystkiem dziedzina nauki czy sztuki, którą interesujemy się szczególniej. Od takiego typu wszelako dalekie są w Polsce dotychczas przeciętne biblioteki domowe.

Wytknąwszy słusznie zasadnicze luki w naszym ruchu wydawniczym i wskazawszy na brak podstawowych, elementarnych dzieł w literaturze powszechnej, przechodzi autor do „umiejętności czytania". Niedość bowiem posiadać książkę na własność. Trzeba umieć ją czytać! Bardzo wielu bowiem z nas czyta książki tylko mechanicznie, osiągając wystarczający bodaj stopień zadowolenia samego procesu przeczytania dzieła o takiej a takiej to ilości stronic. Tymczasem dobrze przeczytać książkę, znaczy: wniknąć w jej treść, wchłonąć ją w siebie, p r z e ż y ć j ą. To znaczy dalej: zaczepić swoją własną myśl o tryby cudzego koła, zmusić ją do pracy, do ruchu, do tworzenia i rozwiązywania całego łańcucha zagadnień wtórnych, grupujących się dokoła zagadnienia zasadniczego, które zostało w książce poruszone. Tymczasem przeciętny nasz czytelnik po przeczytaniu kilkunastu stronic najbardziej nawet zajmującego dzieła, nazajutrz zgoła nie umie sobie uświadomić treści, która ulotniła się z mózgu, jak olejek eteryczny, pozostawiający po sobie nikły, nieuchwytny zapach. W mózgu jego nie poruszyła się ani jedna komórka, nie rozszerzyła swojej pojemności, nie wzbogaciła się nowem, niezatartem wrażeniem, sądem ani wyobrażeniem, nie zmagazynowała niczego, co kiedyś wskrzesłoby niepostrzeżenie i odżyło. Jako czynność podświadoma, proces czytania jest dla organizacyi duchowych i umysłowych niższego typu jednym tylko z wielu, uchodzących za kulturalne, sposobów „zabijania czasu". — Inny rodaj czytania o wątpliwej również korzyści polega na pochopnej chęci połknięcia całej tajemnicy książki jednym haustem. Niecierpliwość czytelnika, mającego na widoku tylko akcyę główną i posuwającego się szybko naprzód za jej biegiem, zostawia na uboczu wszystko, czego autor użył do pogłębienia i rozszerzania swego tematu, odrzuca najcelniejsze nieraz walory utworu, skutkiem czego nie dostrzega lub pomija ideę zasadniczą dzieła, w którem szuka jedynie rozrywki. Czytanie pożyteczne wymaga równowagi umysłu i spokoju myśli. Jest ono przyswajaniem sobie treści danego dzieła, a proces tego przyswajania nie różni się niczem od przyswajania pokarmu przez organizm fizyczny. Co do nas, gdzie umiejętność czytania stoi jeszcze na tak niskim stepniu, to nie czytamy wpraw-

dzie za dużo, ale czytamy źle, nieoględnie, bez wyboru, przechodząc obojętnie i bez wzruszenia obok najwyższych szczytów literatury własnej i literatur obcych, z których często najbłahsze i najmniej szacowne rzeczy zostały przyswojone naszemu językowi z pominięciem rzeczy największych. Skutkiem tego też znamy wiele nazwisk, głośnych w literaturach Zachodu, ale dzieł, które mu zjednały ten rozgłos, nie znamy wcale.

Osobny rozdział poświęcono książkom dla dzieci i młodzieży, którym stawia autor postulat następujący: — „Niech książka ta związana będzie bezpośrednio z rzeczywistością polską, niech będzie oparta o nią, jak o najwyższą prawdę, niech ma na oku równomierny z innemi władzami umysłu rozwój wyobraźni, bez dawania jej atoli przewagi, niech nie podsyca i tak bogatego już w naturze polskiej pierwiastka ułudy, niech uczy chodzić po ziemi z oczyma nie tylko na gwiazdy obróconemi, ale przedewszystkiem na ziemię samą, którą przesyciła krew przodków i użyźniły ich kości; niech jednak obok kultu dla przeszłości rozwija w dzieciach polskich jednocześnie tezy zasadnicze, z teraźniejszych warunków naszych płynące dążenia: dążenie do pracy, jako podstawy istnienia narodu, do sumiennego spełniania obowiązków, jako najwyższego nakazu obywatelskiego, i do bohaterstwa, wypowiadającego się nie tylko przez czyn żołnierza na polu walki, ale, przedewszystkiem, przez zdolność do codziennych wysiłków woli, do abnegacyi i poświęcenia na rzecz innych, do obudzenia w sobie ambicyi najlepszego odsłużenia narodowi służby, do której powołuje on w równej mierze wszystkich. Takich książek, które pośrednio lub bezpośrednio dążeniom tym odpowiadają, szukajmy dla bibliotek domowych, w ich działach, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży".

Z kolei przechodzimy do przyjaciół książki, których poznać można po pierwszym, czysto zewnętrznym z nią stosunku, oraz do jej wrogów, do których zaliczono: cenzurę, prasę peryodyczną, introligatora, wreszcie samego nieoględnego czytelnika. Rozdziały, traktujące o tem, jak nie mniej ten, w którym mowa o oprawie książki, zasługują ze wszech miar na poznanie przez wszystkich, czytających książki.

Rozpatrzeniem stosunku książki do życia kończy Dębicki swoją pracę, za którą winni mu wdzięczność nie tylko sami bibliofile, ale też ogół inteligentny, który z niej może skorzystać bardzo wiele.

Dr. Stanisław Zdziarski.

* * *

Dr. Wiktor Hahn: *Bibliografia o Juliuszu Słowackim za rok 1909.* Ze słowem wstępnem prof. Dra Józefa Kallenbacha. We Lwowie. Nakładem Komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. 1916. Str. XV + 179.

Setna rocznica urodzin Juliusza Słowackiego wywołała w r. 1909 niezwykle ożywiony ruch literacki i naukowy. Wszechstronnym, przejrzystym, dokładnym obrazem tego ruchu jest wymieniona w nagłówku bibliografia Dr. Hahna. W zakres bibliografii weszły: 1) wszystkie rzeczy o Słowackim, ogłoszone drukiem osobno w ciągu roku 1909; 2) artykuły w czasopismach, dziennikach i kalendarzach (autor przejrzał w tym celu przeszło 170 czasopism i wydawnictw zbiorowych); 3) druki ulotne, jako to: afisze, programy, odezwy, zaproszenia, bilety

wstępu; 4) nuty muzyczne; 5) obrazy, fotografie, ryciny, medale. — Układ jest następujący: 1. Dzieła poety. 2. Wydawnictwa zbiorowe. 3. Materyały biograficzne. 4. Twórczość poety. 5. Artykuły okolicznościowe z powodu sześćdziesiątej rocznicy zgonu i setnej rocznicy urodzin. 6. Słowacki w poezyi polskiej. 7. Utwory Słowackiego na scenie. 8. Słowacki w muzyce. 9. Słowacki w malarstwie, rzeźbie i sztuce stosowanej. 10. Sprowadzenie zwłok poety do kraju. 11. Obchody ku czci Słowackiego w r. 1909. 12. Konkursy im. Jul. Słowackiego. W obrębie każdego działu istnieją odpowiednie poddziały i grupy szczegółowe. Bibliografia obejmuje ogółem 5030 pozycyi. Już ten pobieżny przegląd treści daje pojęcie o ogromie dokonanej pracy. Autor nie szczędził trudu mozolnych zabiegów, aby zebrać materyał w sposób jak najbardziej wyczerpujący i ująć go w obraz jasny i dokładny. Obie rzeczy powiodły się znakomicie, a praca Dr. Hahna sumienna, ścisła i metodyczna służyć może za wzór podobnych opracowań bibliograficznych. Spotkała się też ona powszechnie z pełnem uznaniem i głęboką wdzięcznością, której towarzyszy gorące życzenie, by niestrudzony autor po tak świetnym początku poprowadził dalej nieocenione dzieło i już niebawem mógł przystąpić do ogłoszenia całkowitej bibliografii o Juliuszu Słowackim. Będzie to pomnik dla poety *aere perennius*.

S. *V.*

Od Redakcyi.

Z powodu trudności techniczno-drukarskich wydajemy jeden zwiększony zeszyt „Roku Polskiego“ za maj i czerwiec.

Przypominamy naszym Czytelnikom, że I. półrocze kończy się i że koniecznem jest jak najrychlejsze uregulowanie przedpłaty.